

WYCHOWUJMY!

DOROSŁYM O DZIECIACH

Nr 5(14)/2023



Pokonać szkolne lęki

6

Gramy do jednej bramki

20

Niewidzialni uczniowie
i jak ich zobaczyć

40

Inne oblicze polskiej szkoły

60

TEMAT NUMERU

Szkolne trudności

Jak wspierać i motywować małego ucznia? Czy można pokonać szkolne lęki? Jak rodzice i szkoła mogą wspólnie działać dla dobra dziecka? W najnowszym numerze **WYCHOWUJMY!** przyjrzymy się szkolnym problemom i spróbujemy ukazać możliwości ich rozwiązania.

SPIS TREŚCI

ROZWÓJ DZIECKA

Jak motywować dzieci do nauki?	3
Pokonać szkolne lęki	6
Sześciolatki w szkole – co dzisiaj możemy stwierdzić?	10
Trudności szkolne dziecka z chorobą przewlekłą	13
Budujmy wytrwałość!	17

W RODZINIE

Gramy do jednej bramki	20
Tam trzeci korzysta	22
Kto lubi sprzątanie?	27
Konkurs na rodzica	30
Czy edukacja domowa cudownie rozwiązuje wszystkie problemy?	34
Porządek, ale... ..	38

W ŚWIECIE I W SZKOLE

Niewidzialni uczniowie i jak ich zobaczyć	40
Kilka refleksji o relacji między rodzicami i nauczycielami	43
Kompetencje rodziców w szkole w świetle prawa oświatowego	46
Kto idzie na zebranie?	48
Co z tym czytaniem?	52
Oceny nie są takie ważne	57

KLASYCY WYCHOWANIA

Inne oblicze polskiej szkoły	60
------------------------------------	----

SPOTKAJMY SIĘ

Książki o szkole	65
Gry edukacyjne dla małych i dużych	67
Szkoła życia w filmie	69
Zmęczeni, a więc szczęśliwi, czyli Lublin na weekend	71

RAZEM WOBEC TRUDNOŚCI

Szkolne trudności są bardzo różne. I zawsze takie były – począwszy od tego, że kiedyś (a w wielu miejscach na świecie również teraz) szkoła była dobrem ekskluzywnym, dostępnym dla niewielu. Wykorzystywano ją do wynaradawiania w czasie zaborów (kto pamięta, dlaczego strajkowały dzieci z Wrześni?); w czasie II wojny światowej można było stracić życie za uczenie i uczęszczanie na tajne zajęcia.

Dzisiejsze problemy są inne: nierzadko dotyczą dzieci chorych, z dysfunkcjami, wynikają często z cywilizacyjnych przemian. Jednak – co widzą chyba wszyscy – wiele napięć, wiele gorzkich zarzutów jest we wzajemnych relacjach rodziny i szkoły: że nie rozumieją, nie współpracują, nie słuchają... A nic tak nie podkopuje wychowawczych wysiłków, jak ten brak jedności, który dzieci świetnie wyczuwają.

Chcielibyśmy w tym numerze „WychowujMY!” uzmysłwić, że nasz, rodziców i nauczycieli, cel jest ten sam – dobro dziecka. Rodzice znają swoje dziecko jak nikt inny na świecie, ale jest to wiedza obciążona często brakiem obiektywizmu, bo kto potrafi spojrzeć na swoje dziecko z dystansem? Czy rodzice wiedzą, jak dziecko zachowuje się z dala od ich czujnego spojrzenia? Dlaczego nie ufają nauczycielom, mającym wieloletnią praktykę? Z kolei nauczyciele próbujący realizować programy nauczania w klasach, w których kumuluje się wiele różnych napięć, tracą z oczu konkretne osoby – z ich indywidualnymi problemami. I tworzy się przepaść między rodziną i szkołą.

Czy potrafimy dla dobra dzieci wspólnie przerzucić most nad tą przepaścią?

Anna Zalewska



Bogna Białecka

JAK MOTYWOWAĆ DZIECI DO NAUKI

Choć o motywacji i jej rozbudzaniu napisano tysiące książek, chcielibyśmy dziś zaproponować dwa bardzo konkretne podejścia do tematu, oparte na różnych doświadczeniach, jednak godne wypróbowania w warunkach domowych. Jedno podejście pomija w ogóle kwestię motywacji, a ułatwia wykształcanie pozytywnych nawyków efektywnej nauki. Drugie – proponuje całościową zmianę postawy wobec szkoły, nauki i rówieśników, tak by lepsze oceny stały się niejako skutkiem ubocznym tej zmiany.

Metoda małych nawyków B.J. Fogga

W dzisiejszym świecie, w którym młodzież jest bombardowana niekończącymi się bodźcami i rozproszeniami, motywowanie do nauki może wydawać się nie lada wyzwaniem. Jednak kluczem do sukcesu nie jest

presja ani nadmierne oczekiwania, ale raczej umiejętność kultywowania drobnych nawyków, które prowadzą do większych zmian.

Oto kilka zasad ukazujących podstawy poprawienia motywacji do nauki, opartych na koncepcji drobnych nawyków B.J. Fogga, przedstawionych w książce *Tiny habits*.

A) Więcej znaczy mniej: często zmagamy się z motywacją, ustanawiając ambitne cele, które szybko błędą w obliczu codziennych wyzwań, co prowadzi do obwiniania się i w ostateczności poddania. Kluczem jest zmiana perspektywy: zamiast polegać na sile woli, skupmy się na tworzeniu małych, łatwych do opanowania nawyków, które stopniowo prowadzą

do pożądanej zmiany. Małe kroki prowadzą do wielkich zmian. Zaczniemy od prostych działań. Nawet coś tak drobnego, jak regularne przeglądanie notatek po powrocie do domu, może wywołać poczucie osiągnięcia celu i zbudować długotrwałą motywację.

B) Motywacja dla niezmotywowanych: Fogg podkreśla, że zachowania są napędzane przez motywację, umiejętności i bodźce. Zamiast skupiać się na złożoności motywacji, skoncentrujemy się na prostszych aspektach zmiany: bodźcach i łatwych do wykonania działaniach.

Klucz do wprowadzenia nowych, drobnych nawyków tkwi w wykorzystaniu istniejących już bodźców do dodania nowego zachowania. Innymi słowy, nowo wypracowane zachowanie powinno automatycznie następować po czynności lub zdarzeniu, które regularnie ma miejsce w ciągu dnia.

Oto kilka przykładów drobnych nawyków, które mogą przyczynić się do efektywniejszej nauki:

- Gdy tylko wejdiesz do domu i zdejmiesz buty oraz ubranie, wyjmij z plecaka zeszyty z lekcji dnia i szybko przejrzyj notatki.
- Po przeczytaniu notatek, przepisz treść zadań domowych na oddzielne kartki (każde zadanie osobno) i zawieś je na tablicy korkowej nad biurkiem.
- Rozpoczynając naukę, przełącz swój smartfon w tryb „nie przeszkadzać” lub samolotowy.

Ułatwiamy sobie wykształcenie nowego nawyku, odpowiednio się przygotowując, aby wszystko, czego potrzebujemy, było pod ręką. W powyższym przykładzie – upewniamy się, że zapas karteczek i działający długopis są zawsze na biurku.

Fogg nazywa to kotwicą. Konkretnie zdarzenie lub zachowanie staje się bodźcem wyzwalaającym nasz nowy, pozytywny nawyk, czyli w pewnym sensie nowy nawyk zostaje zakotwiczony lub przymocowany do już istniejącego. Co sprawia, że zabieg ten jest rewolucyjny? To, że wykonanie nowej czynności nie zależy już od motywacji, której nam może brakować, ale od zapamiętania, że po X ma nastąpić Y.

Pamiętajmy, że drobne nawyki są siłą napędową pozytywnych zmian. Pozwólmy sobie przez chwilę

napawać się dumą – za każdym razem, gdy coś stanie się naszym nowym nawykiem, i pamiętajmy, że każdy mały krok przybliży do stania się lepszą wersją siebie.

Motywacja inaczej...

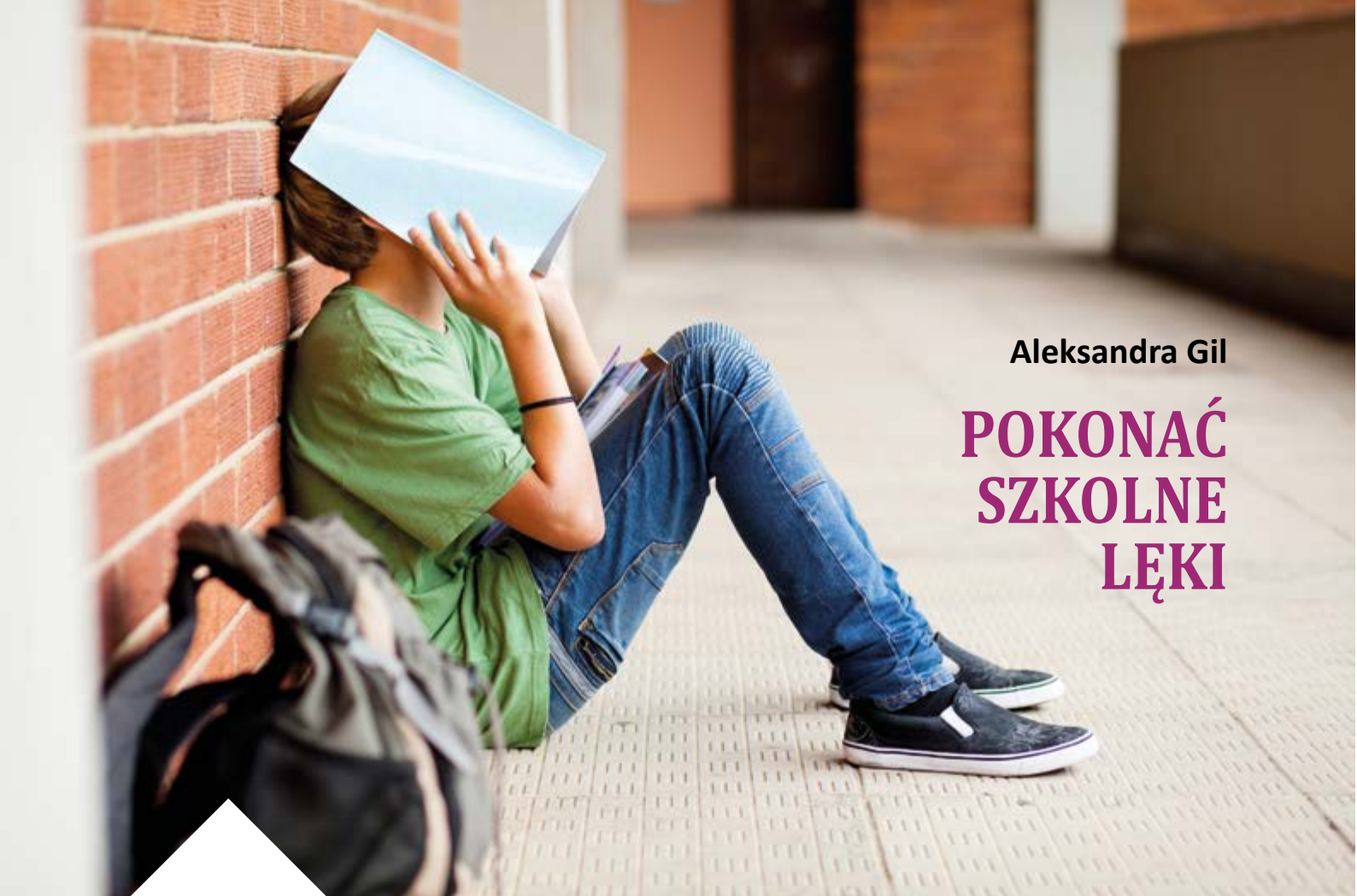
Ron Clark, znany nauczyciel i autor bestsellerowej książki *The Essential 55*, stał się symbolem transformacyjnej mocy edukacji. Jego niekonwencjonalne metody pracy z grupą uczniów, nawet przez najbliższych uważanej za straconą, w jednej z najbardziej niesławnych dzielnic Harlemu, nie tylko odmieniły życie jego podopiecznych, ale także zainspirowały nauczycieli na całym świecie.

Po tym, jak jego klasa osiągnęła spektakularny sukces, zdobywając najwyższe wyniki w egzaminach szóstoklasisty w rejonie, Clark zdecydował się podzielić swoimi odkryciami w książce opisującej 55 zasad, które pomogły mu osiągnąć sukces w nauczaniu. Pozycja ta szybko stała się międzynarodowym bestsellerem. Wśród omówionych przez autora zasad wiele można zastosować nie tylko w klasie, ale także w indywidualnej nauce i rozwoju osobistym. Oto kilka wybranych, bezpośrednio związanych z nauką:

1. Zachęcaj do doskonałości, publicznie wyrażając uznanie (Reguła 3). Publiczne docenianie osiągnięć może działać jako potężny bodziec, motywując uczniów do dalszej pracy i poprawy wyników. Stosować to może zarówno nauczyciel, jak i rodzic, chwalący dziecko za sukcesy przed innymi członkami rodziny.
2. Kontroluj swoje emocje (Reguła 5). Uczniowie powinni uczyć się, jak zarządzać swoimi emocjami, zarówno w sukcesach, jak i porażkach. Dotyczy to przede wszystkim podejścia do porażek. Kluczem jest, by zamiast mówić sobie *Jestem do niczego*, raczej zadawać pytanie: *Czego mnie to nauczyło na przyszłość?* I stworzyć plan, jak w przyszłości zapobiec podobnym problemom.
3. Zadawaj pytania (Reguła 6). Ciekawość prowadzi do głębszego zrozumienia i jest fundamentem efektywnej nauki. Właśnie dlatego na przykład, robiąc notatki, warto (innym kolorem lub na marginesie) zapisywać pytania, które się pojawiają w związku z tematem. Sprzyja to głębszemu przetwarzaniu informacji.

4. Wykonuj losowe akty dobroci (Reguła 11). Promowanie życzliwości i empatii wzmacnia społeczność i pomaga budować pozytywne relacje. Dlatego warto zachęcać dzieci do wzajemnej pomocy w nauce, w odrabianiu zadań domowych, przygotowaniu do sprawdzianów itp. Nawet jeśli ta pomoc sprowadza się do wspólnego przygotowania ściąg, to i tak jest w tym element nauki, a co ważne – budowania dobrych relacji rówieśniczych.
 5. Nagradzaj, ale nie ucz oczekiwania nagród (Reguła 15). Clark wierzy, że choć nagrody mogą być potężnym motywatorem, nie powinny być celem samym w sobie. Dążenie do doskonałości powinno wynikać z pragnienia samodoskonalenia, a nagrody powinny przychodzić jako niespodziewane bonusy, a nie przewidywalne wyniki. Oznacza to, że od czasu do czasu warto dziecko zaskoczyć nagrodą za dobry wynik w nauce. Musi mieć to jednak element niespodzianki i być nieprzewidywalne. Dajemy w ten sposób dziecku trwałe skojarzenie między nauką a przyjemnymi niespodziankami.
 6. Kluczowa jest organizacja (Reguła 18). Clark podkreśla znaczenie bycia zorganizowanym. Pomaga to uczniom w efektywniejszej nauce i lepszym zarządzaniu czasem oraz zasobami.
 7. Bez narzekania na pracę domową (Reguła 19). Narzekanie jest kontrproduktywne. Zamiast tego uczniowie powinni postrzegać wyzwania jako okazje do nauki i wzrostu.
 8. Ucz się na błędach (Reguła 52). Błędy są nieuniknione, ale są też cennymi lekcjami. Ich akceptacja oraz nauka z nich wypływająca prowadzi do osobistego rozwoju.
 9. Zawsze bądź uczciwy (Reguła 53). Uczciwość jest fundamentem zaufania i szacunku, zarówno w klasie, jak i w życiu.
- Zasady te, choć opracowane w kontekście klasy, mają uniwersalne zastosowanie i mogą służyć jako przewodnik dla każdego, kto dąży do osobistego doskonalenia się. Ron Clark pokazał, że każdy uczeń ma potencjał, aby z odpowiednim podejściem, determinacją i pozytywnym nastawieniem przekroczyć ograniczenia i osiągnąć nieoczekiwane sukcesy.





Aleksandra Gil

POKONAĆ SZKOLNE LĘKI

To normalne, że dzieci i młodzi ludzie przejmują się tym, co dzieje się w szkole, np. gdy rozpoczyna się rok szkolny lub przystępują do egzaminów. Czasami jednak związany z nauką obowiązek szkolny może stać się zbyt trudny, stresujący lub niepokojący, i to na dłuższy czas.

Jeśli Twoje dziecko przeżywa niepokój związany ze szkołą lub komunikuje, że nie jest w stanie do niej chodzić, może to być niezwykle wyczerpujące zarówno dla Ciebie, jak i dla niego. Zwłaszcza poranki mogą stać się bardzo stresujące dla całej rodziny, gdy próbujesz zarządzać emocjami swojego dziecka, a jednocześnie realizować swoje zadania i obowiązki. Nawet jeśli uda Ci się doprowadzić dziecko do bramy szkoły lub „wysłać” do niej nastolatka – czujesz, że przetrwanie tego dnia będzie dla niego trudne. I wiesz, że jutro rano czeka was ten sam problem.

Jeżeli znajdujesz się w takiej sytuacji, przyjmij kilka rad, które pomogą Ci zrozumieć, co się dzieje

z dzieckiem, oraz wprowadzić zmiany, żeby dziecko, doświadczając Twojego wsparcia, czuło się bezpiecznie, a Ty nie będziesz toczyć codziennej walki.

Co sprawia, że młodzi czują lęk przed szkołą?

Niepokój związany ze szkołą może być spowodowany wieloma przyczynami. Mogą to być np. relacje rówieśnicze, czyli lęki związane z akceptacją w grupie czy umiejętnością nawiązywania przyjaźni; problemem może być postrzeganie szkoły jako przymusu, a nie przywileju – owszem, związanego z obowiązkami, ale ważnego źródła inspiracji i rozwoju. Innym powodem może być brak umiejętności uczenia się lub problemy zaburzające ten proces (np. brak snu, specjalne potrzeby edukacyjne); czasem jest to trudna relacja z konkretnym nauczycielem. Zarówno te szkolne uwarunkowania, jak i doświadczenia związane z biologią i rozwojem (kolejny etap rozwoju, dojrzewanie) oraz czynniki społeczne, np. żałoba, choroba w rodzinie czy jej rozpad, mogą utrudnić młodemu człowiekowi zaadaptowanie się w szkolnej rzeczywistości.

Dla niektórych młodych ludzi środowisko szkolne jest szczególnie trudnym wyzwaniem, a próba dopasowania się do niego może wywołać przewlekły stres. Może tak być, jeśli zmagają się oni z kłopotami związanymi ze zdrowiem psychicznym lub mają specjalne potrzeby edukacyjne wynikające np. z autyzmu, ADHD, dysleksji lub dyspraksji (tzw. syndrom niezdarnego dziecka). Okoliczności te mogą sprawić, że szkoła będzie wywoływała u ucznia niepokój i wyczerpanie, zwłaszcza jeśli jego stan lub potrzeby rozwojowe są niezdiagnozowane lub niewystarczająco wspierane.

Bywa też, że powód jest dość prozaiczny – zaległości. W pracy z dziećmi i młodzieżą podczas warsztatów (prowadzonych przez Fundację Edukacji Zdrowotnej i Psychoterapii) rozmawiamy o lękach i o tym, w jaki sposób młodzi sobie z nimi radzą. Gdy pytamy o szkołę, na przykład o powrót z wakacji, to mówią, że jest on dla nich trudny, bo zaczyna się czas obowiązków, od których odwykli, oraz obawiają się, że zaległości z lat poprzednich znowu dadzą o sobie znać i koszmar walki z niezrozumiałym tematem z jakiegoś przedmiotu rozpoczyna się na nowo. Młody człowiek czuje się uwięziony w kole powracającej wiedzy, bez której trudno przejść do kolejnego etapu.

Czy to już lęk, a może lenistwo?

Dziecko może okazywać niepokój związany ze szkołą m.in. poprzez:

- niechęć do wstawania i do wyjścia – komunikat, że „nie może iść”;
- wyolbrzymianie drobniagów, zamartwianie się, np. o posiadanie odpowiednich przyborów potrzebnych do zajęć;
- pojawiające się często objawy somatyczne: uczucie mdłości, bóle brzucha lub głowy, problemy ze snem;
- unikanie i niechęć do odrabiania lekcji – w konsekwencji oceny ulegają obniżeniu;
- ciągłą złość, zdenerwowanie, poirytowanie, zarówno w domu, jak i w szkole;
- wycofanie, zaleknienie, przynębienie, niskie poczucie wartości.



Co zatem robić? Domowe strategie

Góra lodowa

Warto dowiedzieć się, co tak naprawdę jest przyczyną niepokoju. Czasami może być trudno ustalić jego źródło, i tu jako rodzice powinniśmy pomóc dziecku określić to źródło. Gdy zrozumiesz problem, będziesz w znacznie lepszej sytuacji, bo zdecydowanie łatwiej znajdziesz rozwiązania adekwatne i do sytuacji, i do potrzeb Twojego dziecka.

Dziecku, nastolatku, trudno jest wyjaśnić emocje – wówczas może też nie być w stanie odpowiedzieć na bezpośrednie pytania, takie jak: *Co się dzieje?* Warto skorzystać wtedy z techniki góry lodowej, która może pomóc w otwarciu rozmowy, dając szansę na wspólne odkrywanie tego, co powoduje niepokój.

Narysujcie wspólnie na kartce „górze lodową lęku”, której tylko czubek wystaje nad powierzchnię fal, a część, zdecydowanie większa i cięższa, jest ukryta pod nią. W obszarze czubka wypiszcie wszystkie objawy, które zauważyliście, czyli efekty i zachowania, które są „na końcu”: zły sen, gorsze samopoczucie, „niemożność pójścia” do szkoły, pogorszenie ocen itd. Gdy to zrobicie, w ukrytym pod wodą obszarze góry lodowej zadawaj pytania, np.: *Może dla ciebie jest za głośno w szkole? Zastanawiam się, czy masz problem z relacjami (koledzy, nauczyciel).* Przy każdej odpowiedzi staraj się nakłaniać dziecko do wyrażania emocji, poproś, by samo rysowało lub dopisywało coś pod Twoimi pytaniami. To sposób o wiele efektywniejszy i mniej stresujący dla każdej ze stron,

gdyż jest to wspólna rozmowa, a nie tylko nasze pytania, często (szczególnie przez nastolatki) odbierane jako opresyjne i zawierające już w sobie niepokój, np.: *Co się z tobą dzieje?*

Z młodszymi dziećmi rysuj obrazy na górze lodowej lub zachęć je do pisania prostych słów. W przypadku dzieci starszych i nastolatków możesz poprosić ich o napisanie słów kluczowych i zwrotów lub zrobić to jako mapę myśli z wyrazem szkoła w środku i wszystkimi rzeczami, które są dla nich trudne.

To ćwiczenie pomaga również w oswojeniu ze szkołą, jej kolejnym etapem czy zmianą. Jest też dla Ciebie doskonałym punktem wyjścia do rozmowy z wychowawcą, nauczycielem, potrzebnej do uzyskania wsparcia w środowisku szkolnym.

Dobre nawyki

Rytuał wstawania, ubierania się, śniadania i wychodzenia z domu może stworzyć poczucie bezpieczeństwa i zmniejszyć stres, również Twój. Dobre nawyki warto zacząć już wieczorem, poczynawszy od wspólnego sprawdzenia planu lekcji, przygotowania potrzebnych rzeczy, spakowania plecaka, wybrania ubrań. Rano możesz wykorzystać jeden z tych elementów, prosząc dziecko, by sprawdziło np. plan lekcji, rzeczy przygotowane do zabrania; dzięki temu, zamiast myśleć o „wyjściu do szkoły”, skupi się ono na konkretnym zadaniu.

Plan na lęk

Zastanów się razem z dzieckiem, jak mogłoby poradzić sobie z lękiem. Młodsze dzieci mogą zabrać ze sobą coś z domu, np. ulubioną zabawkę. Ze starszymi warto omówić i zachęcać do ćwiczenia technik radzenia sobie ze stresem, tak aby sami wiedzieli, co na nich działa. Warto przygotować nawet taką listę, np. przysnąć po przebudzeniu, przygotowanie samemu posiłku do szkoły (wcale nie muszą być to kanapki – młodzi bardzo lubią eksperymentować w kuchni).

Czas na relaks po szkole

Taki czas na odpoczynek może być szczególnie ważny dla nastolatków. To spędzanie czasu z przyjaciółmi i rodziną, słuchanie muzyki, spacer lub bieganie,

uprawianie sportu, pieczenie, rysowanie czy oglądanie ulubionego filmu (pamiętaj o zasadach korzystania z technologii). Wspierając zdrowie psychiczne, ustal zasady: konkretny czas, aktywności i jasny plan pozwalający zniwelować hiperzadaniowość.

Doceniaj małe i duże osiągnięcia

Zwróć uwagę na małe sukcesy, takie jak wstawanie z łóżka we właściwym czasie lub zaangażowanie w domowe i szkolne obowiązki. Mów o tym, że jesteś pod wrażeniem, jak dzieci dobrze sobie radzą, np. łącząc naukę z treningami i z pomocą w domu.

Nie poddawaj się – „raz” nie znaczy, że „zawsze”

W niektóre dni Twoje dziecko może nie być w stanie poradzić sobie ze szkołą, zajęciami pozalekcyjnymi i jeszcze pomocą w domu. Pamiętaj, że wówczas jego nastrój będzie się obniżał. Wspólna rozmowa (np. narysowanie „góry lodowej lęku”) pomoże Wam ustalić zmiany w harmonogramie i spróbować ponownie następnego dnia.

54321

Ta technika jest przydatna w sytuacjach, w których „rozumowe” podejście nie działa i zawodzą wszystkie inne sposoby, a przytłoczenie lub przeciwnie – nadmierne pobudzenie czy brak skoncentrowania – narasta. Jest ona szybka i łatwa do zastosowania. Polega na odwróceniu uwagi od sytuacji, która napawa nas wyjątkowym lękiem lub irytacją; żeby z niej skorzystać, należy zaangażować pięć zmysłów, czyli zachęcić dziecko do:

- wybrania **5** przedmiotów, które znajdują się wokół, skupienia na nich wzroku i nazwania: krzesło, kubek, okno, lampa, długopis;
- skupienia się na **4** elementach, które w danej chwili można usłyszeć: szczekanie psa za oknem, tykanie zegara, ruch na klatce schodowej, własny oddech;
- znalezienia **3** najbliższych rzeczy, których można jak najszybciej dotknąć, na przykład spódnie, biurko, chwycić jedną dłoń w drugą;
- skupienia się na tym, aby rozpoznać **2** towarzyszące zapachy – bez różnicy, czy ładne, czy nieprzyjemne: herbata, przypalone grzanki;
- pocucia **1** smaku, który może określić: woda, którą nawet w szkole na lekcji może mieć i spróbować.

To zadanie–błyskawica nie wymaga zastanawiania się. Należy tylko skupić się na ekspresywnym i intuicyjnym działaniu. Technika 54321 pomaga zaangażować zmysły i jednocześnie mózg w ocenę sytuacji, że jest bezpiecznie, że nic strasznego nam nie grozi. Dzięki temu obniżamy napięcie i lęk. Co istotne, każda technika, również i ta – oczywiście często używana – czyni z nas mistrza. Oznacza to, że musimy ją poznawać i ćwiczyć, gdy nasze dziecko jest w świetnej formie, tak aby nauczyć mózg, że w chwili zagrożenia lękiem musi zadziałać, bo potrafimy ją z sukcesem stosować. Im lepiej opanowana, tym szybciej staje się naturalnym sposobem na rozładowanie stresu, nie tylko dziecka, ale i naszego, szczególnie gdy przystawowe liczenie do dziesięciu już nam nie pomaga.

Na koniec

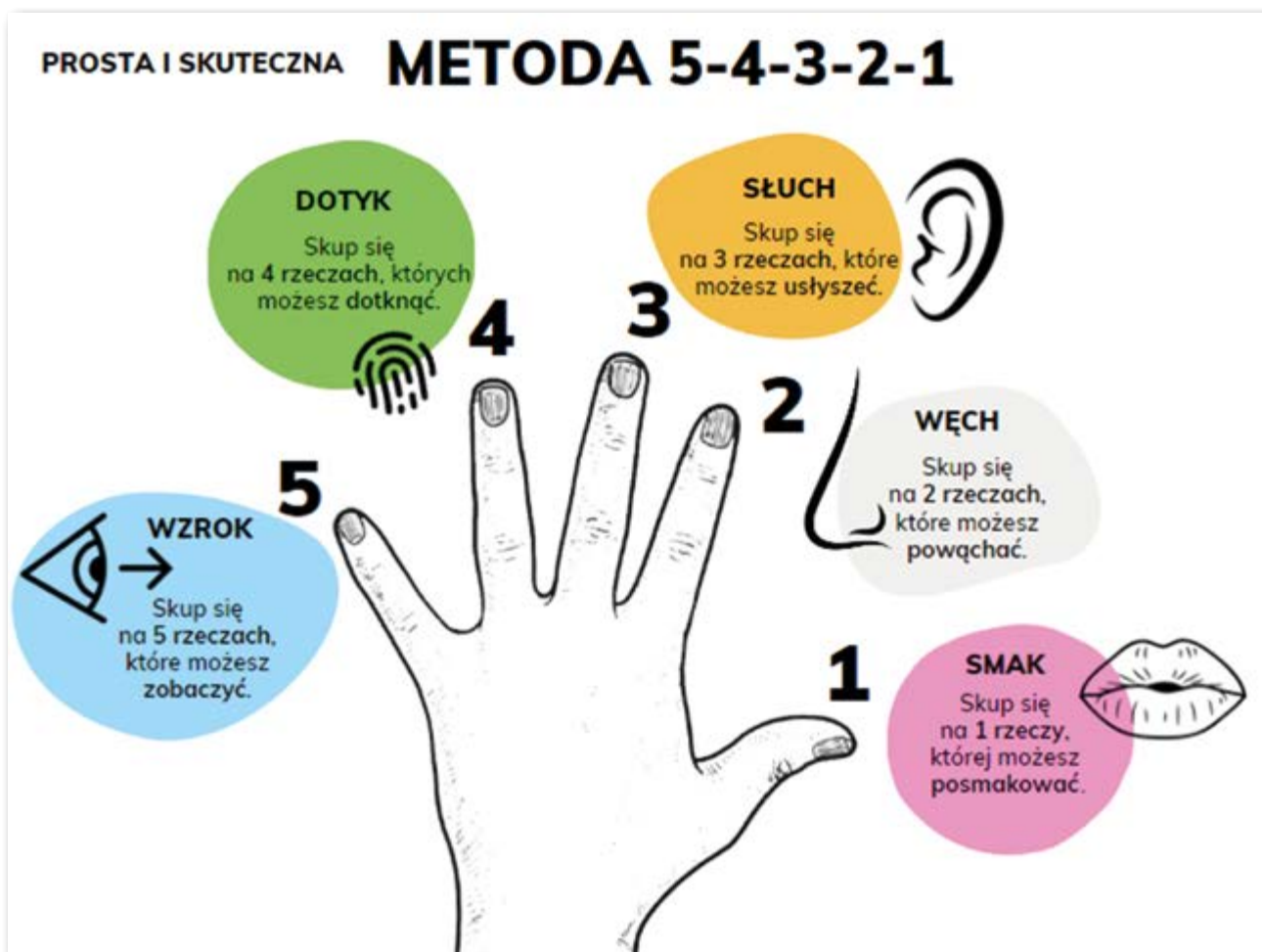
Pamiętaj, że nawet jeśli sytuacja może być naprawdą dla Ciebie i Twojego dziecka trudna, dobrym

pomysłem jest nawiązanie i utrzymanie pozytywnych relacji ze szkołą. Wybierz się na rozmowę, rozpoznaj wsparcie, które mogą zaoferować szkolni specjaliści. Pomoże to współpracować i wprowadzić zmiany, aby pomóc Twojemu dziecku pokonać lęki i poprawić jego sytuację, a przede wszystkim zdrowie.

Literatura wykorzystana:

K. Koffler, *Detaching from Emotional Pain (Grounding)*; I. Pikörn, *The 54321 Grounding Technique: Manage Anxiety By Anchoring In The Present*; A. McPherson, *The 5-4-3-2-1 Mindfulness Method*; M. Taraszkiewicz, *Jak wspierać dzieci w kryzysie? Poradnik dla rodziców nie tylko na czas globalnej pandemii*.

Skuteczne metody na stres i naukę: www.pytam.edu.pl, www.rodzice.co, portale prowadzone przez Fundację Edukacji Zdrowotnej i Psychoterapii.



Rys. Aleksandra Gil



Bogna Białecka

SZEŚCIOLATKI W SZKOLE – CO DZISIAJ MOŻEMY STWIERDZIĆ?

Jak po latach możemy ocenić eksperyment, którym było posyłanie do szkół sześciolatków? Już w momencie, gdy stało się to (na chwilę) przymusem, znane były badania, pokazujące, że to nie najlepszy pomysł.

W roku 2015 opublikowano wyniki duńskich badań Thomasa Dee i Hansa Sievertsen, prowadzonych przez wiele lat, a obejmujących grupę kilkudziesięciu tysięcy uczniów. Badanie to ukazywało jednoznacznie, że najkorzystniejszym dla dzieci wiekiem rozpoczynania nauki szkolnej jest siódmy, nie szósty rok życia. Ten jeden rok czyni bowiem rozwojowo ogromną różnicę.

Zauważono, że siedmiolatki wykazują o 73% lepszą zdolność koncentracji w porównaniu z rówieśnikami, którzy rozpoczęli naukę rok wcześniej. Co więcej, różnica ta utrwała się, obserwowana jest także wśród uczniów w wieku jedenastu lat. Dzieci, które zaczynają szkołę później, wykazują również mniejszą skłonność do ADHD i związanych z nim zaburzeń, takich jak nadpobudliwość.

Już wcześniejsze badania wskazywały na korzyści płynące z dodatkowego roku spędzonego w dzieciństwie na zabawie; jednak badanie duńskie dostarczyło bardziej szczegółowych informacji na temat

przyczyn tych korzyści. Kluczowe okazało się unikanie wymuszania na sześciolatkach długotrwałego siedzenia i skupiania się na jednolitych zadaniach, co jest dla nich wyjątkowo trudne. W tym wieku dzieci potrzebują więcej ruchu i są bardziej zainteresowane eksploracją świata wokół nich. Sześciolatki nie radzą sobie z zadaniami szkolnymi, a złe nawyki i negatywne skojarzenia z sytuacją nauki utrwalają się.

Badania te są szczególnie wartościowe ze względu na ich skalę oraz uwzględnienie szczegółowych danych, takich jak dokładny wiek dziecka przy rozpoczęciu edukacji szkolnej.

Dodatkowo wykazało ono, że dzieci, które rozpoczęły szkołę później, miały wyższy poziom samokontroli. Ta różnica w samokontroli i zdolności koncentracji ma długotrwały wpływ na wyniki w nauce, utrzymując się przez kolejne lata edukacji.

Potrzeby rozwojowe sześciolatka

Rozwój sześciolatka charakteryzuje się specyficznymi potrzebami, które wynikają z faktu, że w tym wieku procesy hamowania w układzie nerwowym nie są jeszcze w pełni rozwinięte. W praktyce oznacza to, że sześciolatki są niezwykle reaktywne emocjonalnie. Nawet niewielki bodziec może wywołać silne reakcje – zarówno pozytywne, jak i negatywne, a nastroje dziecka mogą szybko się zmieniać.

W takim kontekście kluczowe dla pozytywnego rozwoju emocjonalnego, a w szczególności dla poprawy samokontroli, stają się spokój i poczucie bezpieczeństwa. Tę harmonijną atmosferę można stworzyć dziecku w domu, przedszkolu czy też małej szkole, która preferuje indywidualne podejście, oferując niewielką liczebność klasy i spokojną atmosferę. To właśnie w takim spokojnym i bezpiecznym środowisku dziecko stopniowo otwiera się na nowe wyzwania i relacje społeczne.

Należy podkreślić, że te aspekty są ściśle powiązane z fizycznym

poziomem dojrzałości układu nerwowego. Nie można tego rozwoju przyspieszyć sztucznie; kluczowe jest zapewnienie odpowiednich warunków, aby mógł on postępować naturalnie.

Reminiscencje z wdrażania reformy w Polsce

Emocjonalne wyzwania, przed którymi stają sześciolatki w szkole, są znaczące. Dyskusje między nauczycielami pierwszych klas, które miały miejsce w pewnych grupach dyskusyjnych w czasie wprowadzania reformy, rzucają światło na tę sytuację:

To jak podróż kosmiczna. Niekończące się pytania i ciągłe podchodzenie z zeszytem z pytaniem: „Czy dobrze napisałam?” lub „Już skończyłam”. Frustrujące jest, że nie można uzyskać od nich chwili spokoju. Mam podobnie, dzieci przyzwyczajone są z przedszkola do ciągłego oczekiwania na potwierdzenie wykonanej pracy. U mnie, gdy wykonują zadania, każde kończy w innym czasie, a ponieważ nie potrafią samodzielnie przeczytać kolejnych instrukcji, muszę podchodzić do każdego z osobna i wyjaśniać. Tak wygląda cała lekcja. Nie mogę znieść widoku, jak na piątej lekcji podczas drugiej zmiany dzieci po prostu skręcają się w ławkach, ale kiedy je posadzę na dywanie, jest jeszcze gorzej. Zaczynają się wygłupiać, dokuczać sobie, co uniemożliwia prowadzenie lekcji.

Rozwój emocjonalny

Pokazane wyżej cytaty ukazują specyfikę emocjonalnego rozwoju sześciolatka. Maluchy potrzebują



indywidualnego zapewnienia, że radzą sobie dobrze. Głęboko odczuwają negatywne oceny ze strony nauczyciela. Mimo, że teoretycznie w nauczaniu początkowym oceny nie występują, w praktyce nauczyciele często używają ich odpowiedników, takich jak smutne lub uśmiechnięte buźki, punkty itd. Dodatkowym problemem są kryteria oceny, na przykład umiejętności pisania. Kolejnym wyzwaniem jest system zmianowy w nauce. W przedszkolach popołudnia są czasem przeznaczonym na swobodną zabawę, podczas gdy w szkole lekcje często zaczynają się właśnie wtedy. Coś, co jest trudne nawet dla dorosłych, dla małego dziecka jest po prostu niewykonalne. Jak się okazało, konsekwencje ciągną się latami.

W 2023 roku najstarsze dzieci, które rozpoczęły naukę w szkole jako sześciolatkowie, zdają maturę,

a najmłodsze (z roczników, dla których szkoła była obowiązkowa) uczęszczają już do szkoły średniej. Badania prowadzone na całym świecie wciąż na nowo wykazują, że posyłanie sześciolatków do szkół bez rewolucyjnego zmodyfikowania programu i metod nauczania w klasie pierwszej przynosi trwałe, negatywne konsekwencje (z najnowszych: Tandzeglowski-Bielaglove; Shin, Yoosik; Shepard, Asha). Choć wiadomo, że wiele problemów z nauką, zarówno w Polsce, jak i na całym świecie związanych jest z dwuletnim okresem nauczania zdalnego, nie można nie zauważyć, że część trudności z motywacją do nauki i samokontrolą może wynikać z samej decyzji o wcześniejszym wysłaniu dzieci do szkoły, zanim były one na to gotowe. A ze skutkami mierzymy się do dziś.



Sylwia Bliźniewska

TRUDNOŚCI SZKOLNE DZIECKA Z CHOROBA PRZEWLEKŁĄ



Nie jest łatwo pisać czy rozmawiać o chorobach, zwłaszcza kiedy dotyczą one dzieci. A przecież i najmłodsi doświadczani są przez nieuleczalne schorzenia, choroby przewlekłe, zaburzenia neurorozwojowe czy choćby często nawracające infekcje. Problemy zdrowotne nie zawsze są widoczne gołym okiem, jednak często mogą stwarzać wiele problemów. Niektóre zaburzenia i choroby charakteryzują się długotrwałym lub nawracającym przebiegiem i wymagają ciągłej kontroli medycznej, co w przypadku dzieci i młodzieży przekłada się na trudności edukacyjne. Sama od najmłodszych lat cierpię na nawracające migreny, które niejednokrotnie generowały trudności zarówno w szkole (ból głowy ograniczał możliwość skupienia się na nauce czy odrabianiu zadań domowych), jak i w życiu pozaszkolnym; nie rzadko musiałam korzystać z pomocy szpitalnej, gdy bólu nie udawało się opanować. Z czym borykają się uczniowie przewlekłe chorzy i ich najbliżsi? Oddajmy głos mamie chłopca cierpiącego na pierwotny niedobór odporności, uczęszczającego od września tego roku do pierwszej klasy szkoły ponadpodstawowej.

S.B.: Na czym polega choroba Pani syna i w jaki sposób można ją leczyć?

Monika: Pierwotny niedobór odporności zawiera w sobie bardzo dużo jednostek chorobowych. Organizm Kuby nie wytwarza przeciwciał IgG₁, które są strategiczne w obronie przeciwko wirusom. Dlatego syn często łapie i ciężko przechodzi infekcje – głównie dolnych dróg oddechowych (oskrzela, płuca), a jego organizm ma odporność noworodka. Dzięki pomocy specjalistycznej fundacji Jakub został objęty programem leczenia immunoglobulinami, czyli gotowymi preparatami zawierającymi przeciwciała od dawców. Preparaty były podawane raz w miesiącu w szpitalu, jednak ta metoda się nie sprawdziła. Po dwóch tygodniach od przyjęcia substancji poziom przeciwciał gwałtownie spadał i dziecko ulegało infekcji, co z kolei uniemożliwiało przyjęcie kolejnej dawki, później natomiast nie zawsze znajdował się termin na podanie leku. Po konsultacjach lekarskich syn dostał pompę do iniekcji (zastrzyków) podskórnych – wtedy mógł dostawać mniejsze dawki raz w tygodniu, a po

miesięcznym przeszkoleniu w szpitalu także aplikować je samodzielnie. Do lipca zeszłego roku co trzy miesiące Kuba miał wizyty kontrolne w szpitalu.

S.B.: Pani syn choruje od urodzenia? Uczęszczał do przedszkola, czy w związku z częstymi infekcjami nie zdecydowali się Państwo na jego uczestnictwo w zajęciach?

M.: Syn od urodzenia często łapał infekcje, pierwsze antybiotyki były zastosowane, gdy miał zaledwie pół roku. Jednak lekarstwa często nie działały, były więc włączane sterydy, a choroby ciągle wracały. Niejednokrotnie Kuba przyjmował antybiotyki cały rok, z kilkudniowymi przerwami. Do przedszkola był zapisany, jednak prawie z niego nie korzystał. Oprócz nawracających infekcji wykryto u niego także alergie wziewne i pokarmowe. Kuba przez trzy lata był na diecie – mógł jeść prawie wyłącznie gotowane warzywa. Początkowo chodził do przedszkola po śniadaniu, a odbieraliśmy go przed obiadem. Jednak nawet trzy godziny spędzane w przedszkolu powodowały infekcje, w związku z czym dziecko dwa dni chodziło do przedszkola, a przez kolejne pięć tygodni zmagало się z chorobami. Został więc wypisany z przedszkola, co skutkowało tym, że nie dostał opinii potrzebnej do szkoły, ponieważ ze względu na

nieobecności nie można było określić nabytych przez niego umiejętności. Ponadto, w związku z tym, że we wczesnym dzieciństwie nie mógł przyjmować pokarmów stałych, twardych, pojawiła się u niego wada wymowy – seplenienie.

S.B.: Jakie trudności w szkole generowały te wszystkie problemy zdrowotne?

M.: Dzieci w klasach 1–3 są klasyfikowane do następnej klasy bez względu na absencję, jednak od klasy 4 pojawia się problem, ponieważ przekroczenie 50% nieobecności, sprawia, że dziecko jest nieklasyfikowane. Jakub miał nieobecności na granicy tych 50%, trzeba zatem było włączyć indywidualny tok nauczania. Prócz zdrowotnych problemów syn ma także zdiagnozowane ADD (deficyt koncentracji uwagi), a ten problem jest trochę pomijany, bo mniej nagłośniony niż ADHD. ADD ma podobne podłoże neurologiczne, ale dzieci z tym zaburzeniem są ciche, wyłączone z tego, co się dzieje dokoła. Te dzieci są typami myślicieli, nie wyrywają się do odpowiedzi. Nie zauważa się ich, bo nie przeszkadzają, chyba że tak jak Jakub są w jakimś zakresie hiperkinetyczne (Kuba musi np. ruszać nogą pod ławką, rękami w obrębie ławki, „strzelać” z palców). Dzieci z ADD często gubią różne rzeczy, zapominają (np. o pracach domowych),



nie mają poczucia czasu. Komunikaty do Kuby trzeba kierować pojedynczo, najpierw zwróciwszy na siebie jego uwagę. Myślę, że wiele trudności szkolnych Kuba jest związanych nie tylko z przewlekłą chorobą, ale także z tym zaburzeniem. Niestety, mam nieodparte wrażenie, że nauczyciele nie mają wielu możliwości i wystarczającej wiedzy do pracy z takimi uczniami.

S.B.: Jak wygląda proces zdobywania orzeczenia o potrzebie indywidualnego nauczania?

M.: Orzeczenie wydaje poradnia psychologiczno-pedagogiczna, do której przypisana jest dana szkoła. Jednak zanim poradnia rozpatrzy wniosek, mija trochę czasu. Wszystko musi być poparte zaświadczeniami lekarza specjalisty, który określi, czy dziecko faktycznie potrzebuje indywidualnej nauki. Również nauczyciele powinni wystawić opinię zawierającą informacje dotyczące nieobecności dziecka w szkole i jego problemów edukacyjnych. Kuba musiał przejść badanie z pedagogiem, który określił, czy syn rozwija się adekwatnie do wieku i czy zna materiał szkolny zgodny z poziomem nauczania, czy ma problemy z nadrobieniem materiału z powodu absencji. Pierwsze takie badanie Kuba miał już w przedszkolu. Miało ono na celu sprawdzenie, czy opanował wiadomości na tyle, aby móc rozpocząć naukę w pierwszej klasie. Zdobycie zaświadczenia trwa około półtora miesiąca. Dziecko musi być dwa razy na wizycie u pedagoga oraz psychologa. Poradnia wychodzi naprzeciw – dziecko nie zostaje pozostawione bez pomocy.

S.B.: Na jak długo Kubie został przyznany indywidualny tok nauczania?

M.: Taki tok przyznaje się na tak długo, jak uzna lekarz. Najczęściej do zakończenia problemów zdrowotnych.

S.B.: Ile najdłużej trwał indywidualny tok nauczania?

M.: Najdłużej w trakcie pandemii. Kiedy Kubie kończył się indywidualny tok nauczania, przedłużaliśmy mu. Jednak kiedy szkoły przechodziły na tryb zdalny, rezygnowaliśmy. Kłopot pojawiał się wówczas, gdy nie było wiadomo, czy od września dzieci będą chodziły do szkoły, czy przejdą na naukę zdalną, zatem kiedy dzieci uczyły się online – nikt nie chciał

wydawać orzeczenia o indywidualnym kształceniu. Kuba nie mógł mieć wtedy z nikim kontaktu, ponieważ gdyby złapał koronawirusa, jego organizm musiałby go zwalczyć samodzielnie, co byłoby bardzo trudne ze względu na już i tak bardzo obniżoną odporność. Jedyną możliwością w przypadku zarażenia byłoby podanie przeciwciał od ozdrowieńca, jednak ten sposób pojawił się dopiero po jakimś czasie.

S.B.: Jak rówieśnicy reagują na chorobę Jakuba? Nie ma nieprzyjemności związanych z samą chorobą i związanymi z nią nieobecnościami? Jak z pompą? Jest widoczna?

M.: Pompa nie jest na stałe. Była podłączana raz w tygodniu. W klasach 1–3 dzieci zawsze prześcigały się, aby zeszyty z lekcjami Kuba mógł brać od nich. Jednak w nowej szkole (zmiana miejsca zamieszkania – 4 klasa) dzieci były już zintegrowane, a Kuba często opuszczał lekcje i nagle okazało się, że dzieci nie chcą się z nim bawić. Początkowo był to duży kłopot – nie dosyć, że dziecko zмага się z wieloma chorobami, to dodatkowo ma problemy z integracją w grupie rówieśników... Pojawiały się także przewiski. Musiało upłynąć bardzo dużo czasu, zanim syn zintegrował się z dziećmi.

S.B.: Jak nauczyciele reagowali na zaczepki?

M.: Kuba miał cudowną wychowawczynię, która po zgłoszeniu sytuacji zrobiła pogadankę z uczniami oraz zaprosiła rodziców dzieci, które przeżywały syna. Od następnego dnia sytuacja zmieniła się o 180° i dzieci zapraszały Jakuba do zabawy i integracji. Jednak potem zaczęła się pandemia i mimo wszystko syn nie zaprzyjaźnił się z kolegami tak jak w poprzedniej szkole.

S.B.: Jak dużo pracy musi poświęcić rodzic, żeby nadrobić z dzieckiem materiał szkolny ze względu na nieobecności spowodowane chorobą?

M.: W niższych klasach każdą rzecz musiałam z dzieckiem omawiać, jednak mogło to być związane z ADD, a nie tylko z nieobecnościami. Jakub lepiej przyswajał informacje, gdy słuchał tego, co mówię, i np. skakał. Do 6. klasy przerabiałam z nim każdy przedmiot. Kiedy zaczynał naukę hiszpańskiego, ja także uczyłam

się od podstaw. W 7. klasie mojej pracy było zdecydowanie mniej. Jednak, odpowiadając na pytanie: kiedy dziecko opuszcza większość zajęć lub ma nauczanie indywidualne, rodzic musi przeznaczyć mnóstwo czasu na nadrobienie zaległości.

S.B.: W jaki sposób syn zalicza klasówki, kartkówki, sprawdziany, kiedy nie chodzi do szkoły ze względu na chorobę? Jak to wyglądało, kiedy np. był w szpitalu?

M.: Kiedy nie miał indywidualnego toku nauczania i nie chodził 5 tygodni do szkoły, to po powrocie musiał nadrobić wszystkie klasówki i sprawdziany. W szpitalu nie ma zajęć, bo nie ma takiej możliwości.

S.B.: Jak wyglądają lekcje przy indywidualnym toku nauczania?

M.: Indywidualne zajęcia z nauczycielami to nie jest jedna godzina na jeden temat tak jak w szkole, tylko nauczyciel w ciągu 45 minut przerabia np. 3 tematy, czy tyle, ile zdąży, ponieważ zajęcia są okrojone czasowo. Liczba godzin na zrealizowanie podstawy programowej jest mniejsza, niż przewiduje to plan lekcji dla danej klasy. Wszystko jest uzgadniane z dyrektorem. Nauczyciel może przyjąć, gdy upora się z zajęciami w szkole, więc trzeba się dostosować do jego grafiku. Zajęcia nie są systematyczne – mogą się odbywać np. raz na dwa tygodnie. Wtedy nauczyciel stara się pracować tak, aby dziecko z indywidualnym tokiem nauczania zapoznało się z tym samym materiałem, jaki dzieci realizują w tym samym czasie w szkole. Dzięki temu dziecko po powrocie nie ma zaległości.

S.B.: Miałyby pani jakieś sugestie, co można by było zrobić, aby lepiej zorganizować nauczanie indywidualne?

M.: Przy takiej chorobie, jaką ma Kuba, rodzic musi poświęcić bardzo dużo czasu i uwagi, aby nadrobić z dzieckiem materiał szkolny lub zorganizować dla niego korepetycje. Wiadomo, że jak nauczyciel w klasie tłumaczy jeden temat przez 45 minut, to dzieci lepiej przyswajają wiedzę, niż wtedy, kiedy nauczyciel musi zdążyć w ciągu paru minut nadrobić z dzieckiem materiał. Uważam zatem, że lekcje zdalne, tak jak zostało to zorganizowane w trakcie pandemii, byłyby dobrym rozwiązaniem. Nauczyciel mógłby połączyć się z dzieckiem online i postawić laptop na biurku. Dziecko miałoby wtedy możliwość uczestniczenia w lekcjach, a nauczyciele nie mieliby tak napiętego grafiku.

Wypowiedzi pani Moniki pozwalają dostrzec, że trudności, których nie dostrzegamy, są równie istotne co te widoczne, a choroba zazwyczaj negatywnie wpływa na zdolność do nauki oraz funkcjonowanie w grupie rówieśniczej, co może powodować zarówno fizyczne, jak i emocjonalne trudności. Każdy uczeń inaczej radzi sobie z problemami, toteż rozwiązania trudności edukacyjnych mogą się od siebie różnić. Najważniejsza wydaje się być współpraca rodziców, nauczycieli i lekarzy, aby zapewnić dziecku wsparcie emocjonalne i dydaktyczne. Warto dostosowywać edukację do potrzeb jednostki, by uniknąć „wypadania z systemu” dzieci, które ze względu na swe przypadłości już i tak „wypadają” z grona standardowych sytuacji i doświadczeń życiowych. Konieczna jest więc elastyczność w podejściu do wymagań szkolnych, zwracanie uwagi na potrzeby emocjonalne, zapewnienie wsparcia psychologicznego, dostosowanie formy i zakresu zajęć do możliwości ucznia. Czegokolwiek byśmy nie zrobili, najważniejsze, by pamiętać, że dobrostan psychiczny jest równie istotny, co troska o zdrowie fizyczne, i tylko empatia oraz okazywanie swej akceptacji wobec osób chorych mogą sprawić, że nie poczują się one pozostawione ze swym problemem na uboczu.





BUDUJMY WYTRWAŁOŚĆ!

W obecnym świecie słowo cnota ma wydźwięk sarkastyczny, negatywny. Tymczasem rola cnót, przede wszystkim tych kardynalnych (z łac. *cardo* – zawias), tj. roztropności, sprawiedliwości, męstwa i umiarkowania, jest ogromna. Są to cztery filary moralne, na których powinno być zbudowane dobre, godne, wartościowe i piękne życie ludzkie. O tym, czym jest cnota, jak stale rozbudzać w sobie pragnienie wzrastania i dlaczego przykład rodziców w wychowaniu jest tak ważny, mówi s. Urszula Kłusek, pallotylna, w rozmowie z Bernadetą Grabowską.

B.G.: Siostrzo, czym właściwie jest cnota?

s. Urszula Kłusek SAC: Cnota to stała umiejętność wybierania i czynienia dobra. Niejako nawyk czynienia dobra. Wśród cnót wyróżniamy te najważniejsze, kardynalne, które odgrywają kluczową rolę w kształtowaniu naszego ducha, postaw. Podam prosty przykład: proszę wyobrazić sobie bramę. Piękną, dwuczęściową bramę. Każda z części opiera się na dwóch zawiasach, a żeby brama dobrze pełniła swoją funkcję, musi mieć cztery zawiasy. Gdy któryś z nich szwankuje, jest zepsuty, brama nie będzie dobrze działać. Podobnie jest w życiu ludzkim. Aby człowiek mógł się w pełni rozwijać w swoim człowieczeństwie, aby był człowiekiem bogatym wewnętrznie, odpowiedzialnym, dobrym, kochającym, prawym, uczciwym, wiernym, szlachetnym, jego życie moralne musi niejako zawisnąć na tych czterech zawiasach: roztropności, sprawiedliwości, umiarkowaniu i męstwie.

B.G.: Czy możemy powiedzieć, że cnota to nawyk?

s. U.K.: Zasadniczo tak. Zawsze jednak musimy pamiętać o tym, że z wyborem dobra związany jest rozum, a więc świadomość i wola, która idzie za tym, co rozum rozeznaje. Natomiast nawyk sam w sobie jest czymś odruchowym. Aby właśnie „odruchowo” czynić dobro, trzeba wcześniej się tego nauczyć przez dokonywanie dobrych wyborów poprzedzonych odpowiednim namysłem i rozeznaniem.

B.G.: Pochylmy się nad jedną ze wspomnianych wyżej przez Siostrę cnót kardynalnych. Czym jest męstwo?

s. U.K.: Męstwo to wytrwałość w trudnościach oraz stałość w dążeniu do dobra. To umiejętność pokonywania trudów pomimo zmęczenia, zniechęcenia, a nawet małych i dużych porażek. Męstwo daje siłę do praktykowania innych cnót: sprawiedliwości, roztropności, umiarkowania.

B.G.: Gdzie w drabinie cnót znajduje się wytrwałość?

s. U.K.: Wytrwałość jest pochodną męstwa. Niejako wyrasta z tej cnoty. Pomaga w trudnościach, w dążeniu do dobra, umacnia w opieraniu się pokusom, stawia czoła próbom i prześladowaniom i uzdalnia do przezwyciężania strachu, wyrzeczenia i ofiary, łącznie z ofiarą z życia. Młody człowiek uczy się,

że w momencie próby nie dezertuje, ale dzielnie trwa na służbie. Nie ucieka od obowiązku, nie broni się przed podjęciem trudnych zadań, ale stawia czoła wyzwaniu, które pojawia się na horyzoncie. Wytrwałość pomaga wychować nie tylko silnego, ale i szlachetnego człowieka. Nakazuje niejednokrotnie bronić z odwagą siebie, innych i wartości, które wyznajemy.

B.G.: Kiedy i w jaki sposób wzmacniać dziecko w pracy nad kształtowaniem wytrwałości?

s. U.K.: Często wydaje się rodzicom, że kształtowanie cnót odbywa się dopiero wtedy, kiedy dziecko robi się starsze. Nic bardziej mylnego. Nawet małe dziecko może uczyć się pracy i wytrwałości poprzez wykonywanie prostych czynności, jak sprzątanie zabawek. Często ignorujemy te z pozoru tylko nieważne zadania. Uważamy, że sami zrobimy to szybciej, lepiej. Uwalniamy dziecko od obowiązku. Tymczasem właśnie te małe prace i zadania decydują o tym, czy w przyszłości młody człowiek będzie potrafił wymagać od siebie czy nie.

B.G.: Dziecko powinno doświadczyć braku, słabości?

s. U.K.: Dziecko powinno mieć świadomość, że życie dobre nie jest łatwe i nie dzieje się samo z siebie. Aby dobrze żyć, trzeba walczyć z sobą, z własnymi namiętnościami i pożądaniami, z lękami, które paraliżują wolę do działania. Dziecko również uczy się wytrwałości w domu poprzez codzienną pracę, poranne wstawanie, pomoc w obowiązkach domowych, bezinteresowną pomoc innym.

Wszystkim rodzicom martwiącym się, jak obudzić w dziecku wytrwałość, mogę podpowiedzieć, że w kształtowaniu charakteru i ducha zawsze pomaga uprawianie sportu. Ważne jest, aby nasze dzieci wdrażane były w taką dyscyplinę, którą szczególnie lubią i sprawia im ona wiele radości i satysfakcji.

Nie muszą być najlepsi. Nie muszą być wybitni. Wszak nie każdy z nas ma predyspozycje ku temu, aby być sportowcem, ale ważne jest to, aby stale dyscyplinować swojego ciało i wolę do wysiłku. Trzeba postawić sobie pytanie: co jest właściwym celem życia



człowieka? W sporcie niemalże zawsze trzeba przekraczać siebie. Tylko wówczas osiąga się pożądaný efekt. To z kolei przekłada się na zmaganie się z trudnościami w życiu codziennym.

B.G.: Jak rozmawiać z dzieckiem, które poniosło porażkę?

s. U.K.: Każde doświadczenie w życiu ma sens. Paradoksalnie nawet to złe, trudne, może nieść pewne dobro. Uczy nas męstwa, a w konsekwencji wytrwałości. Trudne sytuacje hartują naszego ducha i sprawiają, że stajemy się silniejsi, nie boimy się podjąć wyzwania. Proszę zauważyć – dziecko, które doświadczyło pewnej trudnej sytuacji, np. dostało słabą ocenę z klasówki, ma dzięki temu szansę podjąć refleksję nad tym, czy zrobiło wszystko, aby dobrze przygotować się do sprawdzianu. Jeżeli wytrwa i mężnie stawia czoła kolejnym zadaniom, może sprawić, że kolejna ocena będzie lepsza. Poza tym, jeżeli łączy nas z dzieckiem silna, prawdziwa, rodzicielska więź, to najlepszą rzeczą, jaką możemy wówczas mu ofiarować, jest rozmowa. Dziecko musi mieć świadomość, że rodzice kochają je mimo wszystko, a ocena nie jest wyznacznikiem jego wartości. Istotne jest to, aby motywować dziecko do pracy i zauważać inne dobro, które pomnaża dookoła siebie, w codzienności. Nie bójmy się chwalić dziecka – pochwała, na którą dziecko zasłużyło, będzie dodawać skrzydeł i pobudzi pragnienie podejmowania kolejnych wyzwań.

B.G.: Jakie znaczenie w formowaniu cnoty męstwa ma relacja dziecko – rodzic?

s. U.K.: Dziś wielu rodziców nie ma czasu na wychowanie. Brzmi strasznie, ale niestety tak jest. Jeżeli zamiast zwykłej rozmowy przy stole w kuchni dziecko dostaje nowe gry lub smartfon, to jest to

wychowawcza porażka. Wychowanie człowieka szlachetnego, pięknie uformowanego, zakłada poświęcanie dzieciom czasu. Wychowanie na odległość, przed szklaną szybą komputera lub smartfonu nie działa. A właściwie działa, ale tragicznie. I nie trzeba martwić się za bardzo wadami swoich dzieci, bo, jak mówił Janusz Korczak: *Wady to cnoty, które się jeszcze nie rozwinęły*. Żadne dziecko nie rodzi się złe, każde rodzi się z ogromnym potencjałem dobra. Dlatego rodzic ma szansę na dobre wychowanie dziecka, pod warunkiem że zawsze będzie zaczynać od siebie i że sam będzie prowadził dobre życie. Młody człowiek potrzebuje wsparcia, prowadzenia, świadectwa życia w codzienności swoich własnych rodziców. Jeżeli będzie wiedział i realnie doświadczał, że celem naszego życia jako chrześcijanina jest osiągnięcie zbawienia, to tak będzie starał się prowadzić życie jako dorastający człowiek, aby wybierać to, co dobre, nawet jeżeli będzie to trudne, wymagające poświęceń.

B.G.: Jaki wpływ na kształtowanie się cnoty ma przykład rodziców?

s. U.K.: Rodzice to pierwsi przewodnicy. Oczy dzieci są od początku zwrócone ku nim, na to, jacy są, jak funkcjonują. Dzieci niesamowicie mocno kodują to, co widzą w domu. Rodzice nade wszystko muszą pamiętać o starej, mądrej zasadzie: słowa uczą, przykłady pociągają, i o tym, że dziecko uczy się przede wszystkim przez wzorce. Rodzice, żyjący duchem

cnot kardynalnych, każdym swoim czynem, sposobem życia, zachowania się, wyborami, będą uczyć dziecko życia, jakie sami prowadzą. W ich domu dziecko będzie mogło rozmawiać, uczyć się przy nich podejmowania roztropnych decyzji, a potem będzie wspierane w wytrwałym dążeniu do osiągnięcia celu, choćby takiego jak nauczanie się na pamięć roli do przedstawienia w przedszkolu. W domu rodziców żyjących cnotami nie będzie nadmiaru. Dziecko nie będzie cierpieć też z powodu braków, ale jednocześnie będzie uczone, że nie wszystko musi mieć od razu, że drobne braki nie są nieszczęściem, a ich przyjęcie i znoszenie jest drogą do prawdziwej radości. Dziecko z takiego domu będzie wiedzieć, że należy dzielić się z potrzebującymi, że ważne jest, aby umieć przebaczać i kochać kraj rodzinny, bowiem za niego oddało życie wielu ludzi, którym winniśmy wdzięczność i szacunek. I wreszcie dziecko będzie uczyć się męstwa, a więc wytrwałości w poszukiwaniu i spełnianiu dobra, wierności wartościom, które uznajemy za ważne, i niepoddawania się trudnościom dnia codziennego. Aby tak było, dziecko musi mieć przez rodziców określoną jasną hierarchię wartości i wiedzieć, co jest dobre, a co złe. Tylko w zmaganiu z sobą, nagradzane pochwałą i zachętą kochających rodziców, dziecko może nauczyć się pokonywać trudności i przeszkody, oraz wymagać od siebie w świecie, w którym coraz mniej osób wymaga od siebie życia dobrego i prawego.





Patrycja Przybysławska

GRAMY DO JEDNEJ BRAMKI

Prawdziwą korzyść z wykonywanej pracy człowiek odnosi wtedy, kiedy jej cel jest dobry, a użyte środki właściwe. Warto w takim razie zawsze gruntownie zastanawiać się nad celem podejmowanych działań – i to zarówno tym bliższym, bezpośrednim, jak i dalszym – w perspektywie całego życia. W taki sposób należy spojrzeć także na naukę dzieci w szkole i nasze – rodziców – wsparcie tej nauki. Co jest jej celem?

Wydaje się to oczywiste: poszerzenie wiedzy, zdobycie wykształcenia pozwalającego na podjęcie godnej pracy i na samodzielność w dorosłości. Poza tym czas w szkole jest też okresem dojrzewania, kształtowania charakteru. I ta druga sprawa jest w zasadzie nawet ważniejsza, bo warunkuje zdobywanie wiedzy i pozwala wykształcić w dzieciach cechy, będące kapitałem na całe ich życie. Zatem celem edukacyjnym nauki szkolnej byłoby zdobycie wiedzy, natomiast wychowawczym – kształtowanie cnót (stałych sprawności do czynienia dobra).

Do jednej bramki

Kiedy rozmawiam z rodzicami moich wychowanków o tym, jak powinniśmy współpracować we wspieraniu dzieci w edukacji szkolnej, często odwołuję się do metafory meczu piłkarskiego. I wcale nie chodzi o to, że jestem fanką piłki nożnej – zwyczajnie, to porównanie wbrew pozorom bardzo pasuje do tego problemu. Otóż czas edukacji szkolnej to swego rodzaju mecz, albo nawet całe mistrzostwa, w których przychodzi stoczyć niezliczoną liczbę rozgrywek. Tak jak na boisku, każdy w tych rozgrywkach gra na określonej pozycji. Inna jest pozycja uczniów, inna rodziców, jeszcze inna wychowawców, nauczycieli czy dyrekcji szkoły. I wcale nie jest tak, że to mecz nauczyciele kontra uczniowie (jedni wspierani przez dyrekcję, drudzy przez rodziców). Takie myślenie o relacjach w szkole (nader częste, choć może nie do końca uświadamiane – świadczą o tym niezliczone pretensje, z którymi stykają się nauczyciele i nierzadkie zarzuty, jakimi bywają obarczani rodzice) jest zupełnie nieprawdziwe. Nie gramy przeciwko sobie – gramy do jednej bramki.

Mecz nie toczy się o to, czy wygrają uczniowie czy nauczyciele, bo jesteśmy w tej samej drużynie. Naszym celem jest pokonanie niewiedzy i złych nawyków, skłonności, wad charakteru. Pożądanym wynikiem rozgrywek jest wykształcony człowiek, wyposażony w wiedzę i cechy charakteru, które pozwolą mu się dalej rozwijać, osiągnąć w życiu dobre cele i – w ostatecznym rozrachunku – wieczność w niebie.

Każdy na swojej pozycji

Jesteśmy więc wszyscy: dzieci, rodzice, nauczyciele, wychowawcy, dyrekcja – w jednej drużynie. Każdy z nas gra na swojej pozycji. Każdy ma w związku z tym inne zadania. I tu pojawia zasadnicza kwestia relacji pomiędzy szkołą i domem. Otóż dla dobra naszej rozgrywki nie możemy wchodzić sobie wzajemnie w kompetencje. Pomyślmy: jeśli w czasie meczu obrońca zacznie wchodzić w kompetencje napastnika albo bramkarza – zamiast pilnować bramki, będzie biegał po boisku – strategia musi się rozsypać. Zapakuje chaos i bardzo ciężko będzie mecz wygrać.



To wchodzenie sobie wzajemnie w kompetencje ma przynajmniej dwie duże wady: pierwsza jest taka, że zwyczajnie przeszkadzamy temu, kto powinien skupić się na wykonaniu swego zadania. Druga oznacza, że przejmując czyjeś kompetencje, zaniebujemy często swoje własne. Zatem równolegle osłabiamy dwie pozycje na naszym szkolnym boisku. Co więc należy zrobić? Odpowiedź jest prosta, choć może nie tak łatwa w realizacji, jak na to wygląda. Otóż należy „robić swoje”. Grać najlepiej, jak się potrafi na swojej pozycji. Doskonalić się w tym, co należy do mnie, a nie zastanawiać się ciągle nad ulepszaniem pracy innych.

Róbmy swoje

Zakładam, że piłkarska metafora jest czytelna, a jednak przełożmy ją ściślej na relacje dotyczące edukacji szkolnej. Nauczyciele, rodzice, uczniowie – każda z tych grup ma swoje zadania, to jasne. Nauczyciele mają przekazywać wiedzę, używając do tego skutecznych środków zorientowanych na cel (zarówno edukacyjny, jak wychowawczy). Rodzice mają mądrze wspierać działania swoich dzieci, czuwać nad ich wychowaniem. W końcu uczniowie – to do nich należy główna część rozgrywki – mają walczyć ze swoimi słabościami, przezwyciężać nie tylko niewiedzę, lecz także (a może przede wszystkim) swoje wady, pracować nad charakterem.

Kiedy uczniowie zaczynają kwestionować metody i działania nauczycieli, rodzice podważać ich autorytet i brać odpowiedzialność za naukę swoich pociech, a nauczyciele, zamiast używać odpowiednich metod, próbują przypodobać się swoim wychowankom i z nimi zakumplować, żeby ich „wesprzeć” – wtedy strategia się rozpada. Nikt nie gra na swojej pozycji. Nie ma szansy na sukces. Ta szansa istnieje tylko wówczas, gdy każdy, najlepiej jak tylko potrafi, będzie wykonywał swoje obowiązki, nie tracąc sprzed oczu celu gry.

Na koniec wróćmy więc do celu. Zostało powiedziane, że ma być dobry, a środki właściwe. Dobry w tym najbardziej uniwersalnym ujęciu, które pozwala prawidłowo oceniać nasze wysiłki. Jeśli będziemy o tym pamiętali, nie skusi nas perspektywa grania na nie swojej pozycji w rozgrywce o wychowanie i edukację naszych dzieci, bo łatwo rozpoznamy, że to nie jest dla nich dobre. Będziemy też pamiętać, że

wynikiem naszych usiłowań nie ma być pokazanie, kto tu ma rację, ale wyposażenie dzieci w wiedzę i szlachetne cechy charakteru, które pozwolą im w przyszłości służyć Dobru i Prawdzie.



Anna Faszczo

TAM TRZECI KORZYSTA...

Dziecko potrzebuje autorytetu. A jeśli go nie znajduje tam, gdzie powinien on być i służyć wychowaniu młodego człowieka, czyli w rodzinie i szkole, szybko tę pustkę zapełnia innego typu autorytetami.

Zwłaszcza jeśli pomiędzy rodzicami a szkołą toczy się swoista wojna. Wówczas działa zasada – gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. Dziś tym trzecim będą różnego rodzaju celebryci, a przede wszystkim świat cyfrowy ze swoją przebogata ofertą.

Idealy...

Dlatego niezastąpionym dobrem jest zgodna współpraca rodziców i szkoły – przy czym współpraca nie oznacza uległości jednej z tych stron wobec

drugiej. Wielką szkodą – przede wszystkim dla dziecka, a w dalszej perspektywie dla społeczeństwa – jest brak rzeczywistej współpracy na linii rodzice – szkoła.

Oczywiście, zawsze podstawowym priorytetem jest utrzymywanie relacji, budowanie więzi z dzieckiem. A tu największy wpływ ma zjawisko modelowania. Jeśli tato czy mama przesiaduje z nosem w smartfonie, nie należy oczekiwać, że ich potomstwo będzie stronić od świata cyfrowego. Jeśli nauczyciele są słabo przygotowani do zawodu czy do przeprowadzenia tematu konkretnej lekcji, trudno oczekiwać, że uczniowie będą z radością uczestniczyć w ich lekcjach. To jest mechanizm istniejący poza deklaracjami werbalnymi. Dorośli uczą dzieci tym, jacy sami są w działaniu.

**Celem szkoły, podobnie jak rodziny, jest wszechstronny rozwój dziecka. Docho-
dzi się do tego celu różnymi drogami,
a rodzice mają trochę inne priorytety
niż nauczyciele. Ale przy zgodzie i porozumieniu obu stron te priorytety w jakimś punkcie powinny się spotkać. Do tego jednak potrzebna jest realna rozmowa i wzajemne słuchanie.**

Szkoła składa się z trzech podmiotów tworzących swoisty trójkąt: dziecka (ucznia), nauczyciela i rodzica. Każde ramię tego trójkąta ma znaczenie w odniesieniu sukcesu. Rodzice powinni zatem mieć autonomię i możliwość wpływu na to, co dzieje się w szkole. Z kolei szkoła ma prawo oczekiwać, że rodzice do tej roli podejść w sposób dojrzały. I powinno to odbywać się na zasadzie naturalnej współpracy, a nie walki. Wówczas dziecko ma zapewnione warunki rozwoju, z których bazując na autorytecie rodziców i szkoły chętnie korzysta. Tyle ideał.

Rodzice...

Kilka słów o tym, jak jako rodzice odbiegamy nieraz od ideału w tym idealnym trójkącie.

Często rodzice wchodzą w kontakt ze szkołą z poziomu osobistych doświadczeń szkolnych sprzed lat. Tego typu wiedza bywa powierzchowna i oparta na porównywaniu typu „a za moich czasów to...”. Podważa się przy tym – i to często w obecności dzieci – autorytet nauczycieli i samej instytucji szkoły jako takiej.

Niejednokrotnie też bywa, że rodzice podchodzą do szkoły jak do punktu usługowego. Stają się przy tym wymagającymi i męczącymi klientami. To nie rokuje dobrze, gdy chodzi o współpracę i realizację celu, jakim jest rozwój dziecka (a rozwój to nie tylko przyswojenie zakresu materiału w danej klasie).

Szkoła traktowana jest także jak przechowalnia bagażu, swoisty żłobek, miejsce, gdzie dziecko ma po prostu bezpiecznie spędzić czas, gdy rodzic jest w pracy. Szkoła ma przy tym wszystkiego nauczyć – przekazać wiedzę, kompetencje społeczne,

rozpoznać i rozwinąć talenty dziecka, ukształtować z niego grzeczną, posłuszną pociechę rodziców.

Dziecko ma także w szkole osiągnąć osobisty sukces na wielu polach, m.in. na polu edukacji. Tak, by rodzic mógł być dumny i mógł się tym pochwalić, np. w mediach społecznościowych, gdzie pod koniec czerwca przelewa się fala zdjęć świadectw z białoczerwonymi paskami.

Szkoła...

I tu ideał potrafi sięgnąć bruku. Zwłaszcza gdy placówka realizuje swoje zadania bez porozumienia z rodzicami, nie traktując ich poważnie, nie biorąc w ogóle pod uwagę sytuacji konkretnej rodziny i potrzeb samego dziecka. Niedopuszczalna jest sytuacja, gdy rodzice nie mają przejrzystej informacji o działaniach szkoły, np. o charakterze zewnętrznych warsztatów czy prelekcji lub o poszczególnych punktach wycieczki szkolnej, gdy może się okazać, że dziecko było narażone na kontakt z treściami dla niego nieodpowiednimi, np. zbyt drastycznymi lub godzącymi w rodzinny model wychowawczy. Sami nauczyciele też przeżywają nieraz niemiłe zaskoczenie tym, co dany park rozrywki dla dzieci ma w swej ofercie.

Szkoła generalnie chce współpracy z rodzicami, jednak w praktyce sprowadza się to do obecności na wywiadówkach, zaopatrzeniu dziecka w osprzętowanie (odpowiednie farby na plastykę, strój na WF itp.), wybraniu niekonfliktowych trójek klasowych. Poza tym najlepiej, żeby się nie wtrącali. To pokłosie uprzedzeń. Warto, by szkoły wypracowały własny, adekwatny do społeczności, w jakiej istnieją, model współpracy z rodzicami – bez odgórnego traktowania, bez obaw o to, że każdy rodzic jest roszczeniowy. Życzliwość i normalne traktowanie zazwyczaj spotykają się z odpowiedzią w postaci życzliwości i normalnego traktowania.

Bywają szkoły, w których zaangażowanie rodziców jest wręcz wymagane, ale w niezdrowy sposób. Na przykład wychowawczynie stwierdza, że należy zakupić zasłonki do klasy i każe się tym zająć rodzicom. Albo dyrektor informuje o pikniku w dniu patrona szkoły i deleguje rodziców konkretnych klas do wykonanych zadań potrzebnych do zrealizowania

imprezy. Mało który rodzic zaprotestuje, bo przecież nie będzie się wychylać, nie chce być zagrożeniem dla powodzenia imprezy szkolnej, wreszcie może się obawiać, że odbije się to na podejściu nauczycieli do jego dziecka. Tymczasem szkoła nie powinna naciskać na rodziców. Oni sami mają wychodzić z propozycją zaangażowania się.

Partnerzy

Model równoramiennego trójkąta, o którym była mowa wyżej, zakłada, że wszystkie strony są równie ważnymi i angażującymi się partnerami. Dalekosiężnym celem jest rozwój dziecka. Nauczyciel drogę do tego widzi w realizowaniu programu, natomiast rodzice najczęściej myślą o przyszłej karierze dziecka oraz o jego bezpieczeństwie i sympatycznej atmosferze w szkole. Dziecko z kolei chce w szkole mieć kolegów i koleżanki, dobrze się bawić i nie przemęczać. Wszystkie strony mają rację. Potrzeba jednak spójności w działaniach tych stron.

Główny ciężar spoczywa na wypracowaniu dobrych relacji na linii rodzice – szkoła. Świadomość wspólnego celu (rozwój dziecka) to jednak za mało.

Aby stworzyć płaszczyznę do budowania drogi do tego priorytetu, trzeba stanąć przed sobą w poczuciu, że ważne jest zarówno to, czego chcą rodzice, jak i to, czego chce szkoła. A to wymaga dojrzałości, cierpliwości, czasu i otwartości.

W innym wypadku, gdy między tymi ramionami trójkąta będzie toczyć się otwarty spór lub zimna wojna, najwięcej strat poniesie trzecie ramie, czyli dzieci. W sytuacji rywalizacji dorosłych zawsze tracą dzieci.

Ważne zatem jest, aby obie strony wzbudzały zaufanie jako partnerzy w działaniu. Tymczasem rodzice mogą nieraz czuć się wykorzystywani przez szkołę, gdy ta zwraca się do nich jedynie, gdy potrzebuje wsparcia finansowego lub fizycznego, np. przy organizacji pikniku czy wycieczki. Szkoła natomiast może mieć poczucie, że rodzice nie chcą się angażować w jej życie. A gdy deklarują gotowość do pomocy, często się potem od tego

odcinają. Zdarza się, że rodzice, kierując się dobrem dziecka, mogą naciskać na szkołę, gdy nie widzą oczekiwanych rezultatów, zwłaszcza gdy deklaracje szkoły były inne niż efekt działań. Łatwo wówczas o etykietkę roszczeniowego rodzica. A szufladkowanie nie przynosi dobrych owoców.

Wyniki czy rozwój

Miejsce, w którym najszybciej dochodzi do konfrontacji na linii rodzice – szkoła, jest ocenianie wyników dziecka. Szkoła ma tendencję, żeby wszystko mierzyć, porównywać, wyliczać średnie, robić rankingi. Tej tendencji ulegają często rodzice, za mocno koncentrując się na samych ocenach zamiast na etapie rozwoju i talentach swej pociechy. Nie pomagają porównywanie wyników swego dziecka z wynikami jego kolegów z klasy czy rodzeństwa, kuzynostwa itd.

Warto zrobić krok w tył, pomyśleć o podstawowym celu edukacji i zapytać, czy dziecko właśnie tego – oceniania, szufladkowania, porównywania – potrzebuje do prawidłowego rozwoju.

Dzieci i w ogóle młodzi ludzie nie radzą sobie w takiej sytuacji wyścigu, który z korporacji gładko wszedł do szkół. Napędzają to zresztą same zmiany programowe i skupianie się na realizowaniu przetładowanego do granic możliwości programu. W tej sytuacji nie ma miejsca na to, co jest najlepsze dla konkretnego dziecka, na zauważenie jego indywidualnej sytuacji. Jaki więc wówczas jest cel i sens wysiłków rodziców i szkoły?

Kiedy do tego pojawiają się kłopoty w relacji z rodzicami lub/i ze szkołą, albo gdy po prostu nadchodzi trudny wiek nastoletni, dziecko potrzebuje, aby dośrodkowo skoncentrowali się nie na tym, by miało perfekcyjne cenzurki, ale by mogło przejść przez trudny czas i w kolejny etap wzrastania weszło silniejsze. Poza tym, nie mylmy edukacji i wiedzy dziecka, jego talentów i możliwości z ocenami z dziennika czy ze świadectwa. To tylko dość subiektywny wycinek całości.

Z kolei, gdy pojawia się jakiś poważniejszy problem, wówczas nie tylko oceny, ale nawet edukacja musi

nieraz zejść na plan dalszy. Priorytetem – i to nie tylko dla rodziców, ale też dla szkoły – powinno stać się udzielanie dziecku wsparcia (niewarunkowanego jego wynikami w nauce), rozumienie jego sytuacji, budowanie relacji. A im większy ten problem, tym trzeba być emocjonalnie bliżej dziecka.

Jeśli zabraknie tu współpracy (bez przerzucania się winą i odpowiedzialnością) na linii rodzice – szkoła, odbije się to na dziecku, na jego podejściu do rodziców, do nauki, do samego siebie. Dziecko zacznie szukać ucieczki z wyścigu szczurów, ze swoich problemów, z wyzwań, jakie stawiają przed nim rodzice i szkoła. I nie będzie musiało szukać daleko, ponieważ dziś wystarczy, że włączy komputer czy smartfon i już jest w zupełnie innym świecie, gdzie może być, kim chce i słuchać, kogo chce. Chyba jednak nie taki był wymarzony plan – tak szkoły, jak rodziców.

Warto, aby każde z ramion trójkąta pamiętało, że sukces młodego człowieka nie zależy od samych ocen. Nawet nie od ilości ukończonych fakultetów i zajęć pozaszkolnych. Miarą sukcesu są raczej jego rzeczywiste umiejętności, realistyczne poczucie swojej wartości i możliwości oraz sztuka nawiązywania i utrzymywania zdrowych relacji.

Budowanie

Jak zatem praktycznie nawiązać nić przyjaźni, współpracy rodzice – dziecko? Na pewno trzeba po prostu rozmawiać, bez uprzedzeń, bez pretensji i szukać rozwiązań możliwych na danym terenie. Może warto, aby rodzic zaproponował swoje wejście do szkoły z konkretną ofertą? Przykładowo mama cukiernik może przygotować warsztaty cukiernicze dla klasy swego dziecka. Z kolei tato ratownik medyczny zaproponować wychowawcy zorganizowanie w szkole kursu udzielania pierwszej pomocy. Rodzice prowadzący gospodarstwo rolne mogą zaprosić do siebie klasę dziecka na lekcję przyrody, biologii, zaznajomić z zasadami BHP itd.

Dzięki takiemu wejściu rodzica do szkoły czy wyjściu szkoły na teren bliski dziecku rodzi się mnóstwo korzyści. Dzieci mogą się rozwijać, zdobywać praktyczną i niezbędną wiedzę. Spotykają przy tym interesujące osoby, poznają różne zawody z ich plusami i minusami. Są też w stanie z większą empatią odnosić się do swoich kolegów i koleżanek z klasy, gdy poznają bezpośrednio ich rodziców. U konkretnego dziecka, którego rodzic się tak angażuje, wzrasta także poczucie przynależności do wspólnoty rodzinnej oraz do społeczności klasy.



Co do szkoły, warto przyjrzeć się tradycyjnemu modelowi wywiadówek. Rodzice generalnie na tych spotkaniach nie mówią o tym, czego im brakuje w szkole, i jak ich zdaniem powinno wyglądać spotkanie rodzica z nauczycielem. Obawiają się ostracyzmu, ale też tego, że potem odbije się to na podejściu nauczycieli do ich dziecka. Warto przypomnieć nauczycielom, że wielu rodziców pracuje w różnych firmach, w których coraz częściej zarządza się w sposób partycypacyjny i panują relacje koleżeńskie. Natomiast w szkole ludzie ci – zaproszeni na spotkanie z nauczycielem, czyli na wywiadówkę – mają do czynienia z ocenianiem ich dziecka i to przy grupie zazwyczaj obcych osób oraz stykają się z listą nakazów i zakazów.

Warto zatem popracować nad nowym modelem spotkań szkoły z rodzicami. Dobrym pomysłem wydają się warsztaty czy pogadanki dla rodziców. Raczej nie sprawdzą się tu przemowy gadającej głowy. Są już jednak szkoły, które korzystają ze sprawdzonych i polecanych warsztatów, np. Tato.Net prowadzi w całej Polsce konferencje dla ojców i ich nastoletnich córek czy warsztaty pomagające odkrywać i wzmacniać talenty dziecka lub takie, w których rodzice nabywają kompetencji do lepszej komunikacji między sobą i z dzieckiem. Szkoły, które przeprowadziły takie

warsztaty dla rodziców, widzą znaczącą zmianę. Tego typu szkolenia – prowadzone z wykorzystaniem solidnego materiału i w atrakcyjnej formie – pomagają też rodzicom w przyjmowaniu niektórych zmian, jakie dokonują się w dziecku, zwłaszcza na etapie nastolatków. Niejeden rodzic nie rozumie, co się stało z jego grzeczną córeczką, która teraz krzyczy, pyskuje, dąsa się. Rodzą się wątpliwości: Czy jesteśmy dobrymi rodzicami? Co zrobiliśmy źle? Pojawia się pytanie, czy problemem nie jest przypadkiem szkoła. To z kolei może budzić brak zaufania, pretensje. Tymczasem wystarczy zdobyć wiedzę, by zrozumieć, jaka jest percepcja nastolatka, dlaczego to dziecko teraz tak funkcjonuje.

Jak wykorzystać możliwości współpracy na linii rodzice – szkoła w konkretnym środowisku? To już temat do rozmowy samych zainteresowanych. Czy pomogą tu ministerialne czy kuratorskie zarządzenia? Idealny trójkąt dziecko – rodzic – szkoła to raczej kwestia priorytetów tych trzech ramion i umiejętności budowania relacji między nimi. Zgoda buduje, niezgoda rujnuje. A gdzie dwóch się bije... Pozostaje życzyć dzieciom, rodzicom i szkole skutecznego budowania silnych ramion trójkąta, zanim ktoś trzeci wykorzysta słabość jego powiązań.





Anna Niemira-Jurek

KTO LUBI SPRZĄTANIE?

Słyszając narzekania dzieci dotyczące odrabiania lekcji (a są to lekcje z drugiej i trzeciej klasy szkoły podstawowej, więc przed nimi i przed nami jeszcze prawdziwe wyzwania), myślę sobie często o gorze prania, która na mnie czeka. Albo o odkurzaniu. Czyszczeniu kanapy. Zmywaniu i rozładowywaniu zmywarki. A czasem też o tej szafie w korytarzu, do której od miesięcy trafiają wszystkie rzeczy, czekając na to, aż znajdę dla nich miejsce... I myślę sobie, że dzieci mają rację – to jest naprawdę niesprawiedliwe i bez sensu, że musimy to robić, zamiast usiąść sobie i... porobić coś innego.

Lekcje jako dopust Boży

Czy zadawanie do domu lekcji jest dobre i potrzebne – są na ten temat różne, wykluczające się, choć

dobrze uzasadnione opinie. Faktem pozostaje jednak to, że w większości szkół uczniowie muszą się mierzyć z tym nieszczęściem i stawiają mu czoła. Mam zatem dla Państwa 4 moje osobiste, nieidealne i o częściowo tylko sprawdzonej skuteczności strategie dla klas 0–3, żeby uczynić to wyzwanie strawnym, a może nawet... przyjemnym? Jak to robić w starszych klasach – nie wiem (choć tu pewnie problemów jest więcej i ich rozwiązywanie nie musi być tak proste, przyjemne, a czasem – możliwe).

Sposób 1 – zespołowo

Analogia między odrabianiem lekcji i sprzątaniem pozwala spojrzeć na problem z bliskiej rodzicowi perspektywy (bo, że ktoś pamięta tak dobrze własne czasy szkolne – nie uwierzę). Otóż wiadomo, że jest

dobrze i potrzebne, ale czasem nam się po prostu nie chce. A najbardziej nie chce nam się wtedy, kiedy inny domownik siedzi na kanapie, a my pracujemy. Magia polega na tym, że jeśli jesteśmy w tym nie-szczęściu razem – nie tylko idzie szybciej (wiadomo), ale też mniej doskwiera. Pierwszy sposób to zatem współuczestnictwo w niedoli.

Najlepszym współuczestnikiem jest oczywiście rodzeństwo (można w jednym pokoju, przy jednym stole), ale jeśli jest ono np. jeszcze niepiśmienne, bo przedszkolne, może być od biedy także rodzic. Sztuka nie polega na wspólnym odrabianiu lekcji, a tym bardziej odrabianiu ich za kogoś, ale na jednoczesnym wykonywaniu pracy, np. wysyłaniu zaległych maili przy jednym stole (można sobie razem ponarzekać), opłacaniu rachunków, parowaniu skarpet w pobliżu. Z moich doświadczeń wynika, że praca towarzysząca powinna być podobnie stacjonarna jak odrabianie lekcji (podlewanie kwiatków odpada). Ta wspólnota niedoli daje przede wszystkim efekt „robienia czegoś razem”, nawet jeśli w rzeczywistości robimy inne rzeczy. Na koniec jednak zarówno odrabiający lekcje, jak i piszący zaległe maile mają w sobie podporę i pociechę.

Sposób 2 – grywalizująco

Po każdym etapie gier komputerowych i telefonicznych gracz jest nagradzany w jakiś symboliczny sposób: dostaje wirtualne gwiazdki, punkty, fanfary, kciuk w górę. I rozpoczyna kolejny etap, żeby znów poprawić swoje miejsce w rankingu, pobić wczorajszy rekord, wyświetlić kolorowe fajerwerki... To wszystko, nie ma innej gratyfikacji, nikt go nie przekupuje, żeby znów zagrał. Zasadę tę można zastosować również przy lekcjach (a także wobec samego siebie przy prasowaniu). Otóż po każdej części warto przygotować nagrodę. Nie musi, a nawet nie powinna to być nagroda rzeczowa (słodycze, pieniądze, oglądanie bajek), ale można zgrywalizować pracę domową, np. przez regularne (po każdym zadaniu) sprawdzanie efektów przez rodzica (i informację zwrotną po każdym takim małym etapie – Dobrze zrobiłaś! Nie ma błędów!). Można umówić się na ranking (jedno zrobione zadanie – 1 punkt, 10 punktów – korona z kartonu, 25 punktów – uścisk dłoni prezesa, 50 punktów – spanie na biwaku z kołder, niech już będzie, itd.) To zachęca zresztą do robienia zadań „dla chętnych”, bo jak tu nie być chętnym, jeśli można sobie zapunktować.





Sposób 4 – potęgi klucz

Oczywiście jest i sposób czwarty – wielkie słowa o potrzebie rozwoju, wartości edukacji itd. Myślę, że co jakiś czas warto je powtarzać, bo po pierwsze – to prawda, po drugie – dzieci muszą je usłyszeć nie tylko w szkole, ale także, a może przede wszystkim, w domu. Uczymy się dla siebie. Wiedza nas rozwija, pozwala lepiej rozumieć świat, czyni nas lepszymi. Żeby dotrzeć do gwiazd, czasem stąpamy po cierniach. Im więcej umiemy, tym ciekawszych rzeczy się dowiadujemy. Poznanie podstaw pozwala nam świadomie i odważnie sięgać coraz wyżej i wyżej. Ucz się, synu, ucz – bo... wiadomo!

Jedno, co mogłabym tu doradzić, to pewną wstrzemięźliwość w kaznodziejstwie. Ważną nie tylko dlatego, że takie pouczanie bywa drażniące, ale też dlatego, że dzieci to wiedzą. Tak jak my wiemy, że musimy wykonywać swoje obowiązki domowe czy służbowe. Świadomość ta jednak nie zawsze sprawia, że wykonujemy je chętnie i bez marudzenia.

Sposób 3 – zamiana ról

Jeśli dziecko informuje, że praca domowa jest nudna, głupia, albo że zdąży zrobić rano, bo to BANAŁ (pozdrowiam z tego miejsca mojego syna!), to można spróbować sposobu na zamianę ról. Polega ona w skrócie na tym, że dziecko powinno nam wyjaśnić, o co chodzi w zadaniu (stać się naszym nauczycielem) i przede wszystkim powiedzieć, czemu jest to tak banalne.

Zazwyczaj podczas wyjaśniania da się „przy okazji” pracę domową odrobić, a czasem też czegoś nowego dowiedzieć. Nierzadko okazuje się jednak, że stawia ona jakiś próg trudności (błędów popełnionych przy tej okazji nie należy wyśmiewać swoim a-nie-mówi-łam). Takie prace mogą być też szansą na osobiste rozwinięcie tematu, czasem pomaga dodanie małych utrudnień, które sprawiają, że zadanie stanie się też trochę wyzwaniem. A może nawet zabawą.

Brak słów, brak sił

Czy te sposoby na sprawne i bezbolesne odrabianie prac domowych działają? Czasem. Czy dziecko może mimo wszystko nie chcieć, nie umieć, nie być w nastroju? Może. Czy powinniśmy wtedy odpuszczać? To zależy.

Odpowiedzi na te pytania, zwłaszcza ostatnie, są moim rodzicielskim zdaniem analogiczne do tych, jakich bym udzieliła sobie sama, kiedy nie chce mi się robić dzieciom kolacji albo wieszać prania. Świat się nie zawali, jeśli raz czy dwa sobie darujemy, ale jednak lepiej w miarę możliwości podjąć ten wysiłek, nawet szczątkowo, żeby wszystko nam się dookoła nie posypało.



Monika Dembińska

KONKURS NA RODZICA

Jako młoda nauczycielka podchodziłam zadaniowo do kwestii kuratorskich konkursów przedmiotowych – jest zadanie do wykonania, trzeba wyłonić uczniów, przekazać informacje, sprawdzić umiejętności, przeprowadzić etap szkolny... To podejście kilkakrotnie ulegało zmianie w związku z różnymi rolami, jakie przyszło mi pełnić w systemie edukacji.

Rodzic

Moje dziecko przejawiało żywość umysłu od wczesnego dzieciństwa i trzeba było mu dostarczać zajmujących zajęć. Szkoła – po pierwszych zachwy-

tach – dość szybko nie sprostała temu zadaniu. Realizowała bardzo rzetelnie swoje funkcje, ale...

Będąc częścią systemu, rozumiałam jego ograniczenia i w żaden sposób nie próbowałam budować u dziecka negatywnego obrazu „jego pani” czy samego uczenia się. Jednak niepokoiło mnie to, że żmudne ćwiczenia podstawowe, metody podawcze i zakres wiedzy niezbyt daleko wykraczający poza tę już zdobytą, spowodują trudne do usunięcia negatywne skutki. Obawiałam się, że zawsze odnosząc sukces szkolny, mój syn nie nauczy się uczenia, nie wypracuje swoich strategii przyswajania materiału i nie doświadczy porażki.

Doświadczenie porażki, radzenie sobie w sytuacjach niepowodzenia jest w mojej ocenie jedną z najprzydatniejszych umiejętności w życiu. Niestety, przyswajaną wyłącznie w praktyce, a krótkowzroczni rodzice nie dopuszczają do takiej możliwości. Sytuacja przegranej stwarza rodzicowi ogromne pole do udzielenia dziecku cennej lekcji życiowej.

A czego nauczy się dziesięcioletek, gdy mama nawygraża w jego obecności „głupiej nauczycielce”, która zadała „idiotyczne pytanie” na sprawdzianie i dziecko nie ma piątki?

Aby móc wychowywać dziecko do dojrzałej samodzielności, szukałam dla niego inspirujących zdarzeń edukacyjnych, z założeniem, że nie obłożę wszystkich dni tygodnia zajęciami pozalekcyjnymi. Z pomocą przyszły drobne, gminne konkursy wiedzy, które bawiły mojego syna, a jednocześnie umożliwiały mu zbadanie, jak może planować uczenie się i co jest dla niego w tym procesie efektywne. Oczywiście, konfrontowały go z niepowodzeniami – nie przechodził do etapu pozaszkolnego mimo włożonej pracy, w finale przegrywał jednym punktem i zostawał laureatem drugiego miejsca i temu podobne. Stwarzało to przestrzeń do rozmów o emocjach.

Nie zapomnę finału gminnego konkursu wiedzy ogólnej w 2006 roku: dziesięcioro uczestników siedziało przy stolikach, na których leżały bloki A3 i przywieszane były po trzy nadmuchane baloniki. Kolejno zadano dwa pytania, na które odpowiedzi trzeba było zapisać na kartkach z bloku, a następnie na sygnał podnieść. W wyniku niepełnej lub nieprawidłowej odpowiedzi przebijano balonik... Mój syn (dość wolno piszący) po tej rundzie został z jednym balonikiem i już przygotowywałam w głowie scenariusz swojej reakcji na porażkę. Jednak w rundzie ustnej nie popełnił żadnego błędu do czasu, gdy zostało dwoje uczestników i ogłoszono dogrywkę. W dogrywce oboje stracili swoje ostatnie baloniki, a o miejscu zdecydował wynik z poprzedniego etapu. Dziewczynka zdobyła wcześniej więcej punktów... To wydarzenie dało mi

szansę do rozmowy z dzieckiem o słabych (pisanie) i mocnych stronach (mówienie), o emocjach i reakcjach, o szacunku dla przeciwników czy ustalonych zasad.

Na kolejnym etapie pojawiły się kuratorskie konkursy przedmiotowe dla sześcioklasowej podstawówki – polski, matematyka i przyroda. Syn przystępował do nich z ochotą i odnosił wystarczające sukcesy. Było tak do klasy VI, kiedy wygrana konkursu umożliwiała wybór najlepszego gimnazjum. To też stało się impulsem do rodzicielskiego działania: a co, jeśli nie wygra? Czy chce zajmować się czymś, co go nie interesuje, np. przyrodą, tylko z powodu możliwego profitu? Jak zamierza sobie zorganizować pracę, aby nie utracić kontroli nad bieżącymi szkolnymi sprawami?

Później szukaliśmy wspólnie materiałów, zbieraliśmy źródła, zbiory zadań – było dla mnie ważne, aby poznać techniki selekcji materiałów i aby nic nie zostało mu podstawione pod nos. Wspierałam go w organizacji pracy – robiliśmy tygodniowe grafiki zadań do rozwiązania, bo okazało się, że matematyka sprawia mu największą przyjemność. Czasem przychodził do mnie z zadaniem, na którym utknął i **nigdy nie usłyszał: *To przecież takie proste. Jak możesz tego nie umieć.*** Ostatecznie uzyskał tytuł finalisty, czyli wyznaczonego celu nie osiągnął, jednak bogactwo *skillów*, które zdobył w sferze wiedzy, umiejętności, organizacji i emocji, było nieprzebrane i towarzyszyło mu w gimnazjum przy dalszych konkursach.

Nauczyciel

Najwięcej doświadczenia konkursowego jako nauczycielka uzyskałam, gdy istniały gimnazja. Wielokrotnie zdarzało mi się pracować z uczniami, którzy uzyskiwali najwyższe laury w konkursach kuratorskich. Na początku roku, przed etapem szkolnym, otwierałam koło gromadzące dzieci chcące przystąpić do konkursu z języka polskiego. Czasem dostawałam za to wynagrodzenie, jeśli gmina miała fundusze, a czasem pracowałam *pro bono*. Piszę o tym, ponieważ jestem przekonana, że rodzic nie powinien narzucać nauczycielowi konieczności przygotowania dziecka do konkursu i mieć pretensji w przypadku odmowy.

Ale do rzeczy. Moim gimnazjalistom przedstawiałam wymagania i ustalaliśmy, co na kiedy ma zostać przeczytane. Wspólnie wykonywaliśmy zadania lekturowe. Na tym etapie – i na każdym innym – uczyłam ich współpracy: dzielenia się znalezionymi materiałami, dyskusji, porównywania opinii. Podkreślałam wagę dobrej atmosfery, która nie rodzi lęków przed prezentowaniem swojej wiedzy i myśli. Kiedy w dalszych etapach zostawały dwie, trzy osoby, ci nieakwalifikowani nierzadko im towarzyszyli, pracując na cudzy sukces.

Rodzicielskie doświadczenia i refleksje przenosiłam na szkolną niwę. I w tym wypadku była to praca na emocjach, na umiejętnościach miękkich i organizacyjnych – przy okazji przedmiotowych.

Obecnie pracuję z licealistami. Doświadczenie konkursowe, zwłaszcza w budowaniu zespołu, jego współpracy i atmosfery sprzyjającej nauce, wykorzystuję w największym zakresie na międzyklasowych zajęciach rozszerzonego polskiego do matury. Jeśli chodzi o olimpiady, moi uczniowie

zgłaszają się do mnie z chęcią przystąpienia do Olimpiady Literatury i Języka Polskiego, Olimpiady Wiedzy o Mediach i Olimpiady Wiedzy o Filmie i Komunikacji Społecznej. W tym wypadku rozumiem moją rolę jako towarzyszenie, inspirowanie. Cała praca spoczywa na uczniu, ja dzielę się z nim doświadczeniem, zgłaszam wątpliwości, pokazuję mocne strony jego działania, odpowiadam na pytania, podpowiadam, jednak nie przejmuję odpowiedzialności za pracę ucznia. Zawsze tak robiłam, ale dopiero na tym etapie rozwoju zawodowego uświadomiłam to sobie. Wiem, jak ważne jest nie stwarzać sytuacji, w której to rodzic lub nauczyciel angażują się w sfery uczniowskiego działania, a młodzi przestają być odpowiedzialni za swoje sprawy. To częsty grzech związany z rodzicielstwem. Rodzic nie wygra konkursu, musi to zrobić dziecko.

Dyrektor

Jako osoba prowadząca gimnazjum aż do jego wygaszenia rozumiałam, jak potężnym narzędziem



edukacyjnym są konkursy i udało mi się do tego przekonać pracujących ze mną nauczycieli. Dzieliłiśmy się doświadczeniami w pracy z uczniami zdolnymi i odnosiliśmy sukcesy. Podstawową sprawą okazało się to, że nauczyciel może przy okazji przygotowywania uczniów do konkursów rozwinąć swoje umiejętności metodyczne związane z pracą z uczniem zdolnym. Poświęcanie miejsca tematyce konkursów wpłynęło na kulturę pracy w naszej radzie pedagogicznej.

Przestaliśmy narzekać na niezmiennie obuwie i tego typu nieważne drobiazgi, a zajęliśmy się rozwojem naszych uczniów, co zaowocowało debatą na temat, co możemy zaoferować nie tylko uczniom zdolnym, ale przeciętnym i słabym. Stworzyliśmy sobie program wychowawczy, który odpowiadał na potrzeby różnych typów uczniów tak, aby wszyscy mieli poczucie, że są na swoim miejscu i odnieśli sukces.

Niestety, gimnazjum to już zamknięty rozdział...

Metapoziom (czyli spojrzenie z punktu widzenia członkini i przewodniczącej komisji konkursowych Mazowieckiego Kuratorium Oświaty oraz koordynatorki konkursów)

Niebezpieczeństwa kuratorskich konkursów przedmiotowych wynikają po części z ogromnych uprawnień, które uzyskują ich laureaci. Przy destabilizacji systemu edukacji (zmiana systemowa, podwójny rocznik, sześciolatki w szkole) tytuł laureata zapewnia miejsce w dowolnie wybranej placówce publicznej. Dlatego podobno kwitnie proceder komercyjnego przygotowywania uczniów do konkursów. Konkurs staje się sposobem osiągania celu. Zatraca się jego wychowawcza rola, a pod presją uczestnik przestaje odczuwać przyjemność wynikającą z poznawania. Korepetytor staje się odpowiedzialny za to, co uczeń potrafi, czy ma materiały etc.

Idąc dalej, rodzic nastawiony na cel jest klientem, płaci i wymaga. Wkraczając w relację z przedstawicielami organizatora konkursów, np. ze mną, zajmuje w różnych kwestiach pozycję agresywną: kwestionuje zasadność regulaminu, żąda innych niż podane terminów realizacji poszczególnych czynności związanych

z konkursem, wcześniejszych publikacji wyników, innego sposobu sformułowania zadań, przyznawania punktów za niepoprawne odpowiedzi z przywołaniem absurdu, pokrętnego toku myślenia, np. *jeśli Parandowski nie napisał wyraźnie, że Odys nie wypłynął, to trzeba przyznać punkt za odpowiedź, że wypłynął, bo przecież mógł wypłynąć!*

Poziom pretensji, przyjmowane strategie komunikacyjne (groźenie, obrażanie, szantaż emocjonalny i wiele innych), nierealne oczekiwanie przekraczania przepisów regulaminowych przez rodziców każą mi się zastanawiać, jakie konsekwencje udziału w konkursach ponoszą dzieci tych rodziców. Czy są świadkami frustracji i agresji słownej, której uczą się jako sposobu załatwiania spraw? Czy są obwiniane za potknięcia, co może obniżyć wiarę w siebie? Czy otrzymują właściwą pomoc w opanowaniu emocji w związku z długim terminem oczekiwania na wyniki danego etapu lub na rozstrzygnięcie spornych kwestii merytorycznych? Czy – finalnie – udział w tego rodzaju zawodach daje przyjemność obcowania z wiedzą, satysfakcję z dobrej pracy, umiejętności przydatne w bardzo długiej perspektywie? Jest rzeczą znaną, że dzieci nie robią tego, co rodzice wygłaszają w teorii, ale naśladują to, co rodzice robią w praktyce. Warto o tym pamiętać nie tylko w perspektywie konkursów i szkoły.

Gdybym miała jako rodzic wejść jeszcze raz do konkursowej rzeki, wycisnęłabym w znacznie większym stopniu i bardziej świadomie potencjał, jaki ta sytuacja daje w związku z kształtowaniem emocji, reakcji, planowania, innych umiejętności miękkich, ale także w sferze budowania relacji z dzieckiem, doświadczania przyjemności zdobywania wiedzy, spędzania czasu, dzielenia się zgromadzonymi umiejętnościami.

Ostatni już truizm: nie ma studiów dla przyszłych rodziców ani klasówek z rodzicielstwa, jednak dystans do siebie w tej (i innych) roli oraz refleksja nad działaniami są bezcenne.



Monika Moryń

CZY EDUKACJA DOMOWA CUDOWNIE ROZWIĄZUJE WSZYSTKIE PROBLEMY?

Pandemia COVID – oprócz wielu negatywnych stron – miała też co najmniej jedną dobrą. Pomogła zobaczyć wielu Polakom, że edukacja w domu jest możliwa. W roku szkolnym 2019/2020 w Polsce liczba dzieci i młodzieży uczących się w trybie edukacji domowej wynosiła nieco ponad 12 tysięcy. Jednak w trakcie pandemii COVID-19, czyli w roku szkolnym 2020/2021, odnotowano znaczny wzrost popularności tej formy nauczania, sięgający blisko 20 tysięcy uczniów korzystających z edukacji domowej. Kolejny rok szkolny przyniósł ponowny przyrost uczniów do ED i to aż o 100%. Jak podaje Fundacja Edukacji Domowej, według statystyk Ministerstwa Edukacji i Nauki było to aż 42 tysiące dzieci i młodzieży. O czym mówią

liczby? Na pewno o tym, że szkoła systemowa staje się mało wydolna bądź po prostu niesatysfakcjonująca. Ucieczka dzieci ze szkół państwowych – bo tak trzeba to nazwać – stała się faktem.

Dość tych liczb! Opowiem Wam moją historię. Dziś jestem mamą pięciorga dzieci. W pandemii byliśmy rodziną z szóstką dzieci. Antoś, nasz najmłodszy syn, jeden z bliźniaków, zmarł dwa lata temu (miał nieoperacyjną wadę serca i zespół Downa). Jeden z naszych starszych synów z kolei ma też orzeczenie o kształceniu specjalnym. Podaję te fakty, ponieważ miały decydujący wpływ na podjęcie decyzji o edukacji domowej.

Kilka tygodni przed wprowadzeniem kwarantanny w Polsce razem z mężem mieliśmy okazję czytać listy od wielodzietnych rodzin przebywających na misjach w Chinach. Informacja o tym, że od kilku tygodni nie mogą wychodzić z domów, mocno nas poruszyła. Przychodziły nam wtedy do głowy różne myśli – co by było, gdybyśmy my także zostali zamknięci w czterech ścianach z naszą szóstką dzieci? Wydawało się, że byłby to prawdziwy koszmar. Wyobrażałam sobie szaleństwo, kłótnie, wrzaski, cały ten zamęt, który wynika z faktu bycia wielodzietną rodziną... w izolacji... na ograniczonej przestrzeni. A potem... Ten moment nadszedł!

Wkrótce okazało, że mój mąż, który latami codziennie woził dzieci do szkół, mógł zostać w domu i pracować zdalnie. To było jak swobodne nabieranie na nowo powietrza po latach duszenia się. Zaskoczenie było ogromne. Wreszcie mogliśmy się wyspać, bo przecież nie musieliśmy się zrywać skoro świt. Ale to nie wszystko – stawienie czoła wyzwaniom nauczania naszej szóstki w domu okazało się naprawdę satysfakcjonujące. Już kilka lat wcześniej zastanawialiśmy się nad edukacją domową, bo szkoła niepubliczna, do której uczęszczały nasze dzieci – choć wspiana – była daleko i bardzo nas to wszystkich obciążało! Decyzję o ED odkładałam, bo bałam się, że nie dałabym rady pogodzić obowiązków domowych, opieki nad najmłodszymi i nauki starszych dzieci. Jednak w pandemii przekonaliśmy się, że to możliwe. Uczylałam się z dziećmi, obowiązki domowe zostały rozdzielone między wszystkich członków rodziny, mąż

odkrył pasję do gotowania, dzieci poznały podstawowe przepisy kucharskie. To jeden z największych atutów edukacji domowej – nauka życia. Zwykłe, domowe czynności. Po prostu. Kiedy dzieci wychodzą do szkoły, nie mają zwyczajnie czasu na segregowanie prania, prasowanie czy obieranie ziemniaków. Jeśli mama jest w domu z młodszymi dziećmi, robi to wszystko w czasie ich nieobecności.

Czas pandemii okazał się dla mnie czasem powrotu do bycia nauczycielką. Dodam, że chyba gdzieś podświadomie to pragnienie uczenia we mnie tkwiło. Odkąd pojawiły się w naszym domu dzieci, zrezygnowałam z pracy w szkole, aby wychowywać swoje dzieci, a nie cudze. Siadaliśmy zatem przy wspólnym stole jadalnym i każdy zajmował się przerabianiem materiału, który zadał nauczyciel na edukacji zdalnej. Oczywiście, czasami nasze lekcje to była prawdziwa nerwówka, na przykład wtedy, gdy wszyscy potrzebowali mojej pomocy w tym samym czasie... Moje nerwy nie są ze stali.

Kwarantanna, paradoksalnie, pozytywnie wpłynęła na nasze relacje. Wcześniej, w codziennym pędzie, nie mieliśmy zbyt wiele czasu na rozmowy i wspólne zabawy. Nagle odkrywaliśmy nowe talenty naszych dzieci – zamiłowanie Franka do robienia wieczornych herbatek czy błyskotliwe komentarze Józka. Dowiedzieliśmy się też, że Marta czasem czuje się samotna, a Janka wreszcie przestała boleć brzuch na myśl o szkole. I do tego Antek! Nasza duża rodzina była idealnym otoczeniem wspierającym jego rehabilitację. Janek i Franek organizowali dla niego

w zabawie spontaniczne, proste aktywności fizyczne. Marysia przygotowywała dla niego specjalne przyjęcia i wspierała go w ten sposób emocjonalnie. Józek – brat bliźniak – stanowił dla niego pozytywną rywalizację, mobilizował go do stawiania czoła wyzwaniom. Marta z kolei czytała mu książki, a także prowadziła z nim długie rozmowy, rozwijając jego mowę. Tak więc Antek wcale nie cierpiał na tej izolacji. Czy sama dałabym radę zrobić to wszystko dla niego?



Zatem po niespełna roku podjęliśmy tę odważną decyzję, że dzieci będą uczyły się w domu. Jedynie Marta, naówczas ósmoklasistka, chciała pozostać w szkole. Dodam jednak, że po roku i ona zdecydowała się na liceum w ED. Był to wybór zdecydowany! Mieliśmy wówczas dzieci w klasie II, IV i VI szkoły podstawowej. I oczywiście przedszkolne bliźniaki. Kontynuowaliśmy wypracowane w pandemii standardy. Siadaliśmy wszyscy przy jadalnym stole i każdy pracował nad swoim materiałem ze mną w roli menedżera edukacji. Edukacja domowa musi zmierzać do tego, aby dziecko uczyło się samodzielnie, a rodzic stanowi jedynie podporę oraz jest przewodnikiem, który podpowie, gdzie wiedzę można znaleźć. W dobie internetu jest to naprawdę łatwe. YouTube to kopalnia wartościowych kanałów edukacyjnych. Każda rodzina znajduje swój indywidualny

styl edukowania się. Nam pomagał też – wzięty z korporacyjnych doświadczeń męża – *daily planning*. Siadaliśmy wszyscy rano przy stole i każdy miał trzy minuty na opisanie tego, co w danym dniu musi zrobić, włączając w to domowe obowiąz-

ki, lekturę itp. Także mama i tata dzielili się swoimi planami. Po południu siadaliśmy do podwieczorku i każdy zdawał relację z tego, co udało mu się zrobić, a czego nie. Jako rodzice mieliśmy okazję pytać, dlaczego realizacja zadania się nie powiodła i jak możemy pomóc, aby problem został rozwiązany. Metoda bardzo dobrze się sprawdzała i działała mobilizująco. Mamy ogród i liczne grono sąsiadów oraz znajomych, dlatego sport oraz socjalizacja realizowane były swobodnie, bez naszej – rodziców – ingerencji i sterowania.

Napisałam już o wielu plusach edukacji domowej. Czy jednak rozwiązuje ona cudownie wszystkie problemy i stanowi *crème de la crème*? Zdecydowanie nie. Co prawda są w rodzinach różne style edukacji domowej i różne oczekiwania wobec niej. Jeśli jednak zakładasz, że edukacja domowa oznacza naukę, a nie utajone zwolnienie z obowiązku szkolnego,

słodkie nicnierobienie całymi dniami, będziesz musiał się sporo napracować. Dzieci, choć z czasem coraz lepiej wdrażają się do samoedukacji, mają różne umiejętności przyswajania wiedzy. Jedne są zdolniejsze i świetnie poradzą sobie same, uczą się bez problemów, inne mają trudności w nauce, dlatego trzeba im pomagać więcej. To oznacza dodatkową pracę, sporo zaangażowania rodzica, ale też i mnóstwo nerwów. Jeśli nie masz cierpliwości, szybko nabawisz się nerwicy. O wiele łatwiej uczyć cudze dzieci niż swoje. Do obcych mamy więcej cierpliwości niż do własnych, łatwiej nam o dystans, być może dlatego, że mamy świadomość, iż nie odpowiadamy za ich przyszłość. Często złościłam się na moje dzieci, że nie chcą się uczyć, że pracują niedbale i myślą jedynie o rozrywkach. One z kolei złościły się na mnie, że zbyt dużo od

nich wymagam, że dokładam im zadań, które są żmudne i przede wszystkim zmuszam je do nauki rzeczy życiowo niepotrzebnych. Stare śpiewki, które jednak drażnią nieodmiennie. Kiedy już emocje sięgały zenitu, przychodził mój mąż,

który do dnia dzisiejszego pracuje zdalnie, i ustawiał niesfornych uczniów. Jak już wspomniałam – zależy mi na dobrej edukacji moich dzieci, dlatego przed każdym egzaminem klasyfikacyjnym bardzo się przejmowałam. Moje dzieci mówiły, że denerwuję się bardziej niż one. Niestety, nie wyzbyłam się tego fałszywego przeświadczenia, że ich ocena jest w jakimś sensie moją oceną. To zgubne, nieprawdziwe przekonanie towarzyszyło mi przy każdym egzaminie w ciągu tych trzech lat ED. Cóż – rozum swoje, serce swoje...

W 2022 roku zaczęłam pracować jako egzaminatorka języka polskiego w szkole specjalizującej się w edukacji domowej. To nowe doświadczenie pomogło mi zobaczyć jeszcze inne kwestie tego tematu. Boom na ED wiąże się – o czym pisałam na początku – z niewydolnością szkoły publicznej. W edukacji domowej łąduje mnóstwo dzieci z orzeczeniami o kształceniu specjalnym (to także doświadczenie mojego dziecka),



z fobią szkolną, poważnymi problemami psychicznymi, społecznymi, w końcu także rodzinnymi, którym szkoła systemowa nie potrafi pomóc, a środowisko uczniowskie te dzieciaki po prostu niszczy. Wielu uczniów po kilku miesiącach edukacji domowej mówi, że wreszcie niektóre objawy somatyczne, wynikające ze stresu szkolnego, jak ból głowy, brzucha, zawroty głowy czy wręcz wymioty, naprawdę ustąpiły. To na pewno zasługa odpoczynku w domu i odciążenia stresu, ale także – co niezwykle ważne – sprzyjającej atmosfery w szkołach ED i pracujących tam nauczycieli. Wielu z nich to pasjonaci, wrażliwi na drugiego człowieka, którym nie umyka sedno edukacji. Na egzaminie klasyfikacyjnym nie chodzi o wykazanie uczniowi braków, ale pokazanie, jak wiele się SAM nauczył oraz zmotywowanie go do dalszej pracy i odkrywania tego, czego jeszcze nie wie. Wielu egzaminatorów w ED nie zgadza się na to, aby edukacja była wyścigiem szczurów, zabijała kreatywność tak w uczniu, jak nauczycielu.

Jako egzaminatorka zobaczyłam jednak, że trafiło do ED także grono dzieci, które po prostu nie chcą się uczyć. To smutne! Dziecko z jakichś powodów zostało wyjęte ze szkoły i pozostawione samo sobie, bez oparcia w rodzicu, który wychodzi do pracy. Nie potrafię powiedzieć, jak duży to odsetek. Martwi nawet pojedynczy przypadek! Każdy rodzic, zabierając dziecko do edukacji domowej, podpisuje oświadczenie o zapewnieniu dziecku możliwości zdobywania wiedzy. Bierze na siebie tym samym – ogromną – odpowiedzialność za przyszłość swojego dziecka. Oby dobrze się z tego zadania wywiązał!

W tym roku szkolnym moje dzieci wróciły do szkoły systemowej, rejonowej. W edukacji domowej została tylko najstarsza córka, licealistka. Dlaczego? Dlatego że wszystko ma swój czas i swoje miejsce. Patrzymy na potrzeby naszej rodziny – wszystkich razem i każdego z osobna. To dobra decyzja na dziś! Co będzie dalej, czas pokaże.





Małgorzata Nawrocka

PORZĄDEK, ALE...

Nikt nie ma wątpliwości, że porządek to wartość. Ba, nawet cnota! Wiadomo: tzw. porządni ludzie to nie tylko osoby nieskazitelne w sferze zachowań społecznych, ale również osoby skutecznie utrzymujące w ustawicznym łańdże przestrzeni wokół siebie. Zagadnienie tzw. porządku tudzież porządnosci jest jednak o wiele ciekawsze i bardziej złożone, niż mogłoby wynikać z powierzchownej diagnozy. Ale zacznę od życiowej historyjki, która wiele mnie kiedyś nauczyła...

Jest wieczór, właśnie z mężem dzwonimy do nieznanych drzwi, zaproszeni na oficjalną kolację do domu zacnej i utytułowanej pani profesor. Wiemy tylko, że mieszka z rodziną. Stoimy sztywni, odprasowani, w lakierkach i z kwiatami. Otwiera nam urocza starsza

pani. Coś mówi życzliwie na powitanie, ale trudno zrozumieć co, bo za jej plecami szczeka głośno pies, szarpiący z entuzjazmem parę kapci, a wokół niego szaleje niekompletnie ubrana gromadka maluchów. Zabawa z psem trwa w najlepsze, co chwilę widzę, jak duży, rudy, kudłaty przebiega to w prawo, to w lewo za szerokimi, oszklonymi drzwiami. Nie zanotowałam, jak znaleźliśmy się w przedpokoju, ale potykam się o kilka tuzinów rozrzuconych butów. Zapewne zabawa z psem właśnie tu się zaczęła. Pani profesor nie jest jednak ani trochę zakłopotana. Z uśmiechem wypowiada zdanie, które zapamiętam do końca życia: *W tym domu nie ma terroru porządku...*

Zatem od razu dochodzimy do sedna sprawy: porządek – tak! tak! tak! Terror porządku – nie! Rozróżnienie tych kwestii jest bardzo ważne, zwłaszcza w wychowaniu.

Nagana dla „terroru”

Zacznijmy spektakularnie, od „terroru”. Stoi za nim w domu na ogół perfekcyjny, obsesyjny detalista, który nie toleruje okruszka na dywanie, smugi na lustrze, pyłka na grzbiecie książki w biblioteczce, nie-domkniętych drzwi, krzywo zakręconych pokrywki, itp. Dom prowadzony w ten sposób przypomina luksusowy *hall* apteki albo muzeum. Wszystko w nim lśni, dobrze pachnie i chodzi jak w zegarku. Dzieci też. Mają idealnie odkurzone pokoje, pościelone łóżka, porządek na biurku, w szafie, w pudełkach, w koszu na śmieci, w klatce z chomikiem itd. Każdy inny rodzic cmoka z podziwem i zazdrości tak dobrze wychowanych i ułożonych dzieci. Ale żadne inne dziecko nie zazdrości tym dzieciom... Więźniom muzeum.

Nie twierdzę, że skłonnością do terroryzowania „cnotą porządku” charakteryzują się częściej panie, ale nie potrafię się tu oprzeć pokusie zacytowania genialnego angielskiego pisarza, G.K. Chestertona, który o lekko podobnych sytuacjach mawiał następująco: *Kobiety zorganizowane żyją dla innych, a tych innych można poznać po wystraszonym wyrazie twarzy.*

Ustalmy zatem, że idealny porządek, permanentnie utrzymywany w jakimś domu, w którym znajdują się dziecięce pokoje, to zjawisko przerażające. Ale zwykły porządek, od święta tylko przypominający stan

idealny, to doskonałe rozwiązanie tam, gdzie wychowuje się dzieci. Dlaczego? Bo stałe, heroiczne utrzymywanie idealnego, wzorcowego porządku wymaga bardzo dużo nakładu sił i czasu (albo pieniędzy, jeśli chcemy codziennie uczciwie wynagrodzić pracę pani do sprzątnięcia). Może być pułapką. Ludzie ślizgający się na wypucowanych na błysk podłogach mogą odjechać (również dosłownie) tak daleko od siebie, że na zwykłą bliskość rodzinną zabraknie im tych sił i czasu. Mam nadzieję, że większości z Państwa ta konkluzja znacznie poprawiła humor i samoocenę.

Pochwała dla porządku

Bałagan jest wrogiem wychowania, bo jest wrogiem normalnego życia. Nie ma w tym grama przesady, a poza wieloma przyczynami bałaganiarstwa dwie wydają się podstawowe: bałagan bierze się po pierwsze z nadmiaru, po drugie z lenistwa. Jeśli dziecko żyje w przestrzeni zavalonej górą przedmiotów (często zupełnie niepotrzebnych) czy mebli, w których te przedmioty zostały kolanem dopchnięte, zawsze będzie przytłoczone, zmęczone i rozdrażnione, więc mniej chętne do pracy intelektualnej, na przykład odrabiania lekcji, czemu trudno się dziwić, bo nikt nie funkcjonuje optymalnie w chaosie, zwłaszcza kiedy w stertach rzeczy musi na czas znaleźć coś, czego akurat potrzebuje. Wielość bibelotów towarzyszy przecież na ogół natrętna pstrokaczna, przypadkowa mieszanina kształtów i faktur, brak odległości i harmonii w przestrzeni. Lenistwo, zatem niechęć do wysiłku, aby uporządkować tę przestrzeń, może również wynikać z apatii, do jakiej doprowadził nadmiar.

Wszystkie poradniki podpowiadające, jak porządnie ogarnąć nie tylko przestrzeń do pracy, ale w ogóle swoje życie, rozpoczynają od wskazówki: najpierw wyrzucić nadmiar! Zwracanie bałaganiarzowi uwagi i wymaganie zmiany postępowania nie jest zatem terrorem, tylko koniecznym zwracaniem do minimum. Minimum porządku – w każdym domu indywidualnie zdefiniowane – to absolutna granica, której nie wolno przesuwać, aby nie doprowadzić domu i siebie do ruiny. Są przecież miejsca strategiczne, w których zawsze powinien być utrzymany porządek: leki, dokumenty, książeczki zdrowia,

klucze itp. Permanentny bałagan obniża komfort życia, więc znacznie zaniża samoocenę, ma wpływ na pracę i inne życiowe sprawy (na przykład z powodu terminów niedotrzymanych przez chaos w kalendarzu, papierach czy koniecznych wydatkach), utrudnia odpoczynek, często jest źródłem domowych napięć albo wprost kłótni. Może mieć także realny wpływ na brak bezpieczeństwa, zwłaszcza gdy w domu są dzieci, osoby starsze albo niepełnosprawne.

Sztuka wyboru

Zaskakujące, ale wnioski, które rodzą się w wyniku tej krótkiej refleksji, prowadzą do pochwały innej niż sam porządek cnoty – tradycyjnej ascezy. Wpajamy ją dzieciom, bo to ona stoi u podstaw porządku. Uczy nie tylko rezygnowania z rzeczy zbędnych na pierwszym etapie, kiedy pożądlive oczy kuszą: *Weź to!*, ale przede wszystkim kształtuje intelekt poprzez nawyk zadawania pytań o wiele bardziej istotnych: Czy czegoś potrzebuję? Czy to coś ma jakość i jest piękne? Czy to może pomóc mi w osiągnięciu celu i czy ten cel jest rzeczywiście tak ważny? Czy wyniknie stąd dobro dla mnie lub dla innych? Itd. ...

Bo idealny porządek zewnętrzny nie zawsze dowodzi idealnego porządku wewnętrznego, natomiast praca nad uporządkowaniem wewnętrznym prędzej czy później doprowadzi do osiągnięcia harmonii i ładu zewnętrznej przestrzeni życia.





Katarzyna Wozinska

NIEWIDZIALNI UCZNIOWIE I JAK ICH ZOBACZYĆ

Jedną z najbardziej przejmujących opowieści w Muminach była ta o niewidzialnym dziecku. Nini pod wpływem sarkastycznej ciotki robiła się coraz bledsza i bledsza, aż wreszcie znikła zupełnie. Mama Mumin-ka dostała ambitne – psychoterapeutyczne – zadanie, by pomóc dziewczynce: powoli aranżując taki styl życia, takie sytuacje, które pozwolą jej wrócić – i być zauważalną.

W szkolnej rzeczywistości niewidzialne dzieci były zawsze. Kiedyś ktoś użył tego sformułowania, mówiąc o uczniach, którzy kamuflują się ze względu na wstyd pochodzenia z patologicznej rodziny, np. alkoholowej

lub przemocowej, oraz ze względu na lęk i taką strategię przetrwania. Chciałabym opowiedzieć o innej niewidzialności, bardziej zwyczajnej, mniej niepokojącej – a przez to pozostawionej najczęściej bez interwencji.

Niewidzialni nikomu nie szkodzą. Niewidzialni są uprzejmi i akuradni. Niewidzialni nie proszą o pomoc i nie dają żadnych oznak tego, że coś jest nie tak, dlatego to właśnie o nich mówi się „przecież wszystko było w porządku, taka miła dziewczyna, taki cichy, spokojny chłopak”.

Osoby, których strategią na życie w społeczeństwie jest wycofanie, nierzucanie w oczy, nienarzucanie innym, cichość, spokój, mają równie złożone życie psychiczne jak wszyscy (wyolbrzymiając) histerycy, złościcy i krzykacze.

Odbyna się ono bardziej wewnętrznie – optymalnie funkcjonuje przy mniejszej liczbie osób, ograniczając się do sprawdzonych bliskich lub samotności. Szkoła ze względu na swoją dynamikę i poziom stymulowania zmysłów (przerwa, przypominam, to zazwyczaj poziom głośności lotniska) stwarza im samą swoją strukturą raczej powód do wewnętrznej emigracji. Czy da się tak funkcjonować 12–13 lat? Oczywiście. Pytanie – jakim kosztem?

Wspólnym mianownikiem takich uczniów jest to, że zasadniczo nikomu nie przeszkadzają i niczym czy niemal niczym się nie wyróżniają, właściwie stapiają się z tłem. Nawet kontakt wzrokowy, jaki nawiązują, służy niezachęcaniu do interakcji (znacie to Państwo, wiecie, jak należało patrzeć na nauczyciela, by nie zwrócić jego uwagi przy odpytywaniu klasy – ani zbyt intensywnie, ani zbyt ucieczkowo?). Bardzo często są to dzieci z uruchomionym równolegle trybem bycia miłymi, dbania o spełnienie oczekiwań i potrzeb innych. Bezproblemowo się przesuną, ustąpią, z całą pewnością nie zaostreżą konfliktu, nie będą rywalizować. Kolejna łącząca ich cecha to niewyrażanie potrzeb – ani przez komunikację wprost, ani przez okazywanie frustracji. Raczej odpłyną myślami, niż okażą znudzenie. Jeśli wśród nich są dobrzy, wybitni uczniowie, popisywanie się czy drażnienie klasy „mądrostwami” zastępuje ciche, solidne wykonywanie swojej roboty i niespecjalne wychylanie się z informowaniem nauczyciela czy kolegów o jej efektach.

Ta lista przymiotów ogniskuje się w kluczowym efekcie z punktu widzenia życia klasy: da się być z niewidzialnym dzieckiem w jednej grupie latami i nie nawiązywać z nim praktycznie żadnych znaczących interakcji. Z perspektywy umęczonego walką z żywiołem uczniowskim nauczyciela taki uczeń jest wytnieniem – jednym mniej dzieciakiem do ogarniania

i dyscyplinowania. Nie zwraca się na niego uwagi i, niestety, wszystkim jest z tym bardzo dobrze. Niekoniecznie samemu zainteresowanemu.

Czasem są to dzieci cierpiące czy ocierające się o konkretne zaburzenie, np. mutyzm wybiórczy, ADD (nadpobudliwość psychoruchowa z deficytem uwagi bez nadruchliwości), spektrum autyzmu, SPD (sensorycy), ale mogą to również być skrajni introwertycy czy uczniowie zahamowani emocjonalnie. Ponieważ część ich kolegów nawet z tymi samymi diagnozami będzie rozrabiać, przekierują na siebie nie tylko uwagę dorosłych, ale i ich zmartwienia i motywację do interweniowania.

Szczególną podgrupę stanowią dobre uczennice, prowadzące dwa życia: jedno to życie zewnętrzne, czasem rozbawionej, otoczonej wianuszkami koleżanek dziewczyny. Drugie to emocjonalne zmagania niewidzialnego dziecka – okazuje się, że żadna z tych koleżanek nie zna prawdziwego „ja” delikwentki, relacje i funkcjonowanie zewnętrzne pełnią rolę kamuflującego kokonu, zabezpieczającego tę kruchą wewnętrzną rzeczywistość. Praca w gabinecie uczy zresztą, że uczniowie zawsze uśmiechnięci, zawsze pozytywni bywają osobami wyspecjalizowanymi w takim sposobie autoprezentacji. Za tym wizerunkiem może ukrywać się właściwie wszystko.

Pracowałam z mnóstwem bardzo dobrych, niesprawiającym rodzicom i nauczycielom trudności, uczniów. Wszyscy długo, nawet latami tłumili i hodowali w sobie różne trudności, więc kiedy trafiają do psychologa (często po rozpoczęciu wieku dojrzewania, na przełomie szkoły podstawowej i średniej),



mają już bogate doświadczenie w działaniu wbrew sobie. Z całą pewnością za szkołą nie przepadają, albo „w sumie lubią ją tak w zasadzie”... poza tym, że np. „akurat” mają fobię szkolną i dotarcie na lekcje oraz wytrwanie na miejscu jest dla nich niesamowitym wyzwaniem. Znów: spełnianie cudzych oczekiwań, deklaracje bez pokrycia, głęboko upychane negatywne emocje, wychodzące „bokiem”, w trudnym do wyleczenia objawie. To osoby, które bardzo, bardzo nie akceptują u siebie negatywnych emocji. Może dlatego, że każda z nich jest sygnałem o potrzebach, wymagających zatroszczenia się, zadziałania? A przecież cała energia idzie na kamuflaż... Wcale nie jest łatwo im pomóc, ponieważ pomimo z pozoru dobrego funkcjonowania mają olbrzymi problem z zaufaniem drugiemu człowiekowi lub nawykowo, z ogromną siłą sabotują swoją emocjonalność. Charakterystyczna jest u nich błyskawiczna, powierzchowna poprawa połączona z niechęcią do dalszej pracy (coś w stylu: „bardzo panią lubię, czy mogę już tu więcej nie przychodzić?”). Oczywiście żaden problem nie został rozwiązany, to po prostu zebranie sił, by odsunąć go od siebie razem z przypominającym o nim terapeutą.

Myśląc o tej grupie uczniów z perspektywy szkoły, trzeba wyraźnie powiedzieć o zaniedbaniu. Czy zwinionym? Nie wiadomo do końca, kto miałby być podmiotem decyzyjnym i odpowiedzialnym za oswajanie, niczym Liska z Małego Księcia, ucznia o takich tendencjach. Według dawnych, ale nie wiadomo czy kiedykolwiek szerzej wprowadzonych w życie, wzorców: zespół klasowy i wychowawca dbają o to, by każdy miał swoje miejsce, nikt nie zostawał w tyle i nie czuł się osamotniony.

Czy wychowawców masowo stać na korczakowską uważność w spojrzeniu na poszczególne dzieci? Pozalekcyjny, to jest przerastający wyścig szczurów za realizacją napchanego programu, kontakt z dzieckiem? Nie tylko jednorazowy, z tak łatwym do odbicia „czy wszystko w porządku?”, ale faktycznie osobowy, oparty na wspólnym działaniu i relacji, która może się z niego wyłonić?



Niewidzialne dzieci, by uniknąć wejścia w ścieżkę zaburzeniową, potrzebują ze strony szkoły przede wszystkim warunków, by poczuć się bezpiecznie pod względem emocjonalnym. Nie tylko mieć święty spokój, który z tym myślą i do którego zapewnienia tak czy inaczej dążą. Nie wolno zapomnieć, że skorzystają z zaaranżowania przestrzeni społecznej, w której będą mogły być autentyczne i dać coś z siebie innym. Pozostawione same nie podejmą inicjatywy lub wejdą w utarte, popisowe ścieżki „dobrego ucznia”, które służą tylko robieniu dobrego wrażenia.

Po czym poznamy sukces? Gdy niewidzialne dziecko z czymś się nie zgodzi, zezłości się, wystąpi w obronie ważnej dla siebie wartości, zrobi coś pod włos, może nawet niegrzecznego. Jak Nini – u której behawioralną trampoliną do całkowitego wyzdrowienia z niewidzialności było... ukąszenie w ogonek Taty Muminka – w obronie ukochanej Mamy.



Anna Cegieła

KILKA REFLEKSJI O RELACJI MIĘDZY RODZICAMI I NAUCZYCIELAMI

Relacja rodzic – nauczyciel od wielu lat jest jedną z ważnych przyczyn rezygnacji nauczycieli z zawodu. Na pytanie o to, kto ma rację w sporach między nauczycielami a rodzicami, można znaleźć tyle odpowiedzi, ile sporów. Sensowne wydaje się więc nie rozsądzanie konkretnych konfliktów, lecz rozpoznanie przyczyn złych relacji między tymi stronami oraz podjęcie działań naprawczych.

Zarówno uczeń, jak i rodzic domagają się od nauczyciela sprawiedliwego traktowania i oceniania. Kwestię sprawiedliwości widzą jednak dość wąsko i często jednostronnie. Po trzeciej nieudanej poprawie sprawdzianu domagają się jeszcze czwartej. Uczniowi należy się przecież kolejna szansa. Nie można go tak po prostu przekreślać. Tego, że inni uczniowie napisali sprawdzian dobrze albo należycie wykorzystali pierwszą szansę poprawy, rodzic często nie dostrzega. Jego dziecku należy się dodatkowy czas, dodatkowa godzina wolnego popołudnia zabrana nauczycielowi. Jeśli dziecku tej nienależnej szansy nauczyciel nie da, to znaczy, że jest niesprawiedliwy, czepia się szczegółów, jest złośliwy, wymaga rzeczy niepotrzebnych, tych, o których nie mówił na lekcji. Fakt, że istnieje podręcznik, w ogóle się nie liczy.

Sprawiedliwe traktowanie często oznacza dla rodzica to, że należy zaliczyć uczniowi semestr albo przepuścić do następnej klasy, bo przecież nie znał tylko materiału ze średniowiecza, a wszystko inne umiał. Nie przeczytał tylko kilku lektur ze spisu znanego od początku roku. Nieważne, że to jedna trzecia materiału. Rodzic uznaje, że to mały i nieważny z dzisiejszego punktu widzenia fragment wiedzy.

Jak widzi to samo nauczyciel? Oczywiście inaczej niż rodzic, wierzący (często bezkrytycznie) we wszystko, co mówi jego dziecko. Uczeń nie korzysta z lekcji starannie przygotowanej przez nauczyciela, bo większość czasu patrzy w komórkę, której przecież nauczyciel nie może mu zabrać. Nie robi notatek. Nie czyta lektury, korzysta z gotowców i opracowań. Nauczyciel ma poczucie, że jest nieskuteczny, niepotrzebny, lekceważony. Uczeń nie wykonuje jego poleceń, rodzic podważa kompetencje nauczyciela. Zarzuca mu niesprawiedliwość i nie docenia jego wiedzy. Uważa, że nauczyciel powinien realizować program nauczania, nie dyskutować z rodzicem, czy jakaś epoka, mechanika, dynamika czy inny fragment wiedzy jest ważny. To przecież jest zapisane w podstawie nauczania każdego przedmiotu. Dzisiaj nauczyciel nie odczuwa ani szacunku uczniów, ani szacunku rodziców. O zaufaniu nie może nawet marzyć.

Taki smutny obraz relacji nauczyciela z rodzicem nie jest owocem mojej wybujałej wyobraźni. To zjawisko

częste, dające się zaobserwować w dobrych liceach stolicy. Relacje moich koleżanek nauczycielek są wręcz przerażające i podważają moją wiarę w sens misyjnego przecież zawodu.

Przyczyn tego konfliktu jest wiele. Jedną z nich jest z pewnością zmiana metod wychowawczych w rodzinie, polegająca na tym, że dziecku przyznaje się (słusznie zresztą) różne prawa, ale nie egzekwuje się od niego wykonywania obowiązków i nie uczy ponoszenia odpowiedzialności za różne działania oraz nie pokazuje się, że podejmowanie wyborów zawsze łączy się z konsekwencjami. Skutki takiego sposobu wychowywania są oczywiste – dziecko robi to, co lubi i woli robić, czyli np. ogląda film, zamiast rozwiązywać zadania, czytać lektury itd. Rodzic widzi to za późno, czyli wtedy, kiedy dziecko ponosi konsekwencje swojego wyboru. Powinien wówczas pozwolić na to, by dziecko odczuło skutki własnego postępowania, a nie zdejmować z niego odpowiedzialność i winą za swój błąd (niedopilnowania własnego dziecka) obarczać nauczyciela, wymuszając na nim kolejną szansę zaliczenia. Nauczyciel natomiast może dać szansę poprawy, ale tylko w ramach, które zostały wcześniej jasno określone. Tu konieczna jest żelazna konsekwencja i dokładnie przedstawione zasady oceny pracy uczniów. Poprawa powinna też wiązać się z podwyższeniem, a nie obniżeniem stopnia trudności zadań, bo za brak sumienności nie należy nagradzać.

Drugiej przyczyny konfliktu między rodzicami a nauczycielami upatruję w deficycie zaufania do nauczycieli i ufnej wierze w prawdomówność dzieci. Nauczyciel może się oczywiście pomylić i to się zdarza. Najczęściej jednak konflikty powstają nie na skutek pomyłek nauczyciela, ale w wyniku strachu ucznia przed karą i szukania prostych i czasem nieuczciwych zabiegów pomagających jej uniknąć. Jeśli rodzic naprawdę chce stanąć po stronie ucznia, nie powinien atakować nauczyciela i zarzucać mu złych intencji. Wymuszanie na nauczycielu dodatkowych przywilejów, ułatwień itd. wcale nie pomaga uczniowi. Uczy go raczej, że można unikać wysiłku, lekceważyć obowiązki i jakoś będzie. Czy na pewno tak jest w dorosłym życiu? Czy taka postawa ukształtowana w wieku szkolnym nie przyniesie skutków o wiele bardziej bolesnych niż niezaliczenie semestru?

Przejawem braku zaufania do nauczycieli jest bezpodstawne negatywne ocenianie ich kompetencji, wskazywanie, czego mają wymagać, a czego nie, co powinni uznać za ważne, a co ważne nie jest. Pomiżam kwestię, że tego rodzaju uwagi są nietaktowne. Rodzice manifestują za ich pomocą własną wyższość wobec nauczyciela i instytucji szkoły. W gruncie rzeczy ujawniają też swoją bezradność i brak wiedzy o własnym dziecku – czasem tylko o jego brakach z jakiegoś przedmiotu, czasem o lenistwie czy zaniebdaniu, czasem po prostu o braku zdolności. To ostatnie zaakceptować najtrudniej. Łatwiej uznać, że wymagania szkoły są bezpodstawne. Pozwolenie na uwagi o wymaganiach czy programie nauczania otwiera drogę do negowania wartości całej wiedzy przekazywanej w szkole i celowości nauczania w ogóle. (Znamy wypowiedzi celebrytek, które domagały się, by szkoła ograniczyła swoje działania do nauki jazdy samochodem i nauki języka obcego.) Niepotrzebną dyskusję ma szansę zamknąć informacja o statutowej konieczności realizacji konkretnego programu, którego opracowanie powierzono specjalistom z danej dziedziny.

Kolejną przyczyną niepotrzebnego konfliktu między rodzicami a nauczycielami jest brak umiejętności dobrej komunikacji (dziś niestety dość powszechny). Nie mam tu na myśli braku uprzejmości, lecz umiejętność słuchania ze zrozumieniem i życzliwością, bez uprzedzeń i z założeniem, że obie strony – i nauczyciel i rodzic chcą dobra dziecka, a nie ułatwiania albo utrudniania mu życia.

Jeżeli nauczyciel wie, że rodzicom zależy na tym, żeby ich dziecko uzyskało wiedzę i umiejętności potrzebne w życiu, a rodzice wierzą, że nauczyciel pracuje nad tym, by ich dziecko dobrze kształcić, to uwagi nauczyciela nie będą odbierane jako złośliwość, a prośby rodzica jako wyłudzenie przywilejów. Do tego potrzebne jest jednak nie tylko zaufanie. Konieczna jest także umiejętność zmiany swojej perspektywy, rodzica, na perspektywę nauczyciela i odwrotnie. Uczeń jest jednocześnie dzieckiem swoich rodziców i uczniem szkoły. Trzeba go widzieć w obu wymiarach i obu rolach.

Nie można dostrzegać i rozumieć tylko jednego fragmentu człowieka. Gdy uzyska się obraz całościowy, można myśleć o wspólnej pracy wychowawczej opartej na porozumieniu. I trzeba przy tym pamiętać, że nauczyciel powinien mieć czas dla zdolnych i pracowitych uczniów, a nie tylko dla tych, którzy unikają wysiłku i są niesolidni. Umiejętności dobrej komunikacji są potrzebne obu stronom. Nie tylko nauczyciela przerastają czasem jego obowiązki wobec uczniów, także rodzic napotyka problemy, wobec których staje bezradny. Jedynie współpraca oparta na rzeczowej rozmowie może ułatwić obu stronom pracę dla dobra ucznia.

I wreszcie uwaga ostatnia. Uczeń przychodzi do szkoły z bagażem różnych rodzinnych niedociągnięć wychowawczych, i nie zawsze z dobrymi doświadczeniami. Współczesnej rodzinie brakuje czasu, co oznacza, że nie ma w niej równowagi – dzieci mają deficyty miłości i akceptacji, odczuwają brak bezpieczeństwa, są traktowane zbyt tolerancyjnie po prostu dla wygody rodziców, albo przeciwnie – brakuje im tolerancji, nie uczy się ich konsekwentnie zasad moralnych ani zasad etykiety. Wszystko to ma wpływ na ich zachowania w szkole. Nauczyciel musi więc sobie radzić zarówno z postępowaniem nagannym moralnie

(np. z kłamstwem), jak i lękami, kompleksami, brakiem poczucia własnej wartości uczniów oraz buntem okresu dojrzewania. Co zrozumiałe – nie ze wszystkim radzi sobie dobrze. Trudności ma zwłaszcza w pracy z uczniami nadpobudliwymi i źle wychowywanymi.

Istnieje potrzeba współpracy psychologa albo pedagoga szkolnego z rodzicami i nauczycielami przedmiotów, której wynikiem byłyby wspólnie przyjęte i respektowane zasady postępowania z uczniami. Rodzice powinni wiedzieć, jakie są zasady pracy i oceniania uczniów, nauczyciele – jakie uczeń ma problemy i trudności. Kiedy takiej wiedzy brakuje, obu stronom trudno jest właściwie i odpowiednio szybko reagować.

Rodzice obwiniają nauczycieli, a nauczyciele rodziców. Obie strony czują się niekomfortowo. Ograniczenie kontaktu rodziców z nauczycielami do wywiadówek nie jest dobre. Mają one zwykle dość formalny charakter i są krótkie. Jeśli rodzice chcą mieć wpływ na szkołę, powinni kontaktować się z nauczycielami częściej i nie tylko przez elektroniczny dziennik. Nauczyciele nie powinni przed kontaktem z rodzicami stronić. Najbardziej owocne jest przecież spotkanie człowieka z człowiekiem, zwłaszcza gdy cel jest wspólny.





Jacek Banaś

KOMPETENCJE RODZICÓW W SZKOLE W ŚWIELE PRAWA OŚWIATOWEGO

Wychowanie dzieci, a w miarę dorastania – młodzieży, przynajmniej do czasu osiągnięcia pełnoletności, to naturalny przywilej oraz obowiązek rodziców. Życie rodzinne jest podstawową formą wychowania z uwagi na to, że to rodzice dali życie dzieciom oraz

ze względu na absolutnie wyjątkowe relacje: macierzyńską i ojcowską wobec dzieci, a z drugiej strony relację synowską i odpowiednio – relację bycia córką. Uprawnienie rodziców do wychowywania swoich dzieci jest w Polsce konstytucyjnie zagwarantowanym prawem: *rodzice mają prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniem* (art. 48 Konstytucji RP). Prawo to można rodzicom ograniczyć (lub odebrać) tylko w szczególnych przypadkach – określonych w ustawie (*Kodeks rodzinny i opiekuńczy*) i tylko na podstawie prawomocnego orzeczenia sądu.

Rodzice jako pierwsi wychowawcy i nauczyciele, posiadający niezbywalne prawo do wychowania, mogą i powinni(!) być wspierani przez społeczeństwo, a najbardziej przez te instytucje państwowe, których zadaniem jest szeroko pojęty rozwój młodych ku dojrzałej dorosłości. Wychowanie młodzieży to zadanie – wyzwanie dla całego społeczeństwa, nie zaś wyłącznie dla niewielkiego kręgu specjalistów. Tym bardziej, że pełny rozwój osobowy młodych w społeczności należy ujmować w kategoriach dobra wspólnego tejże społeczności.

Nierozzerwalność edukacji i wychowania

Jak zatem określić zadania i wzajemne relacje rodziny i szkoły w realizacji funkcji wychowania dzieci?

Fundamentalne jest przestrzeganie prawa pomocniczości, które wyklucza traktowanie instytucji państwowych takich jak szkoła jako zastępujących rodzinę, a umożliwia jedynie realizowanie funkcji uzupełniającej i wspierającej wobec wychowania rodzinnego. Ustawa *Prawo oświatowe* (art. 1 pkt 2) wprost wskazuje, że system oświaty zapewnia wspomaganie przez szkołę wychowawczej roli rodziny.

Szkoła ze swej natury realizuje w głównej mierze zadanie nauczania (kształcenia). Funkcja wychowawcza szkoły jest natomiast w dobie lekceważenia i ośmieszania wychowania moralnego (cnót) przedmiotem krytyki. Do tego stopnia, że nawet wśród nauczycieli pojawiają się głosy wzywające do zaniechania realizowania tzw. funkcji wychowawczej szkoły, jako że nauczyciel ma być tym, który ma uczyć, a wychowaniem – jak się postuluje – powinni zająć się rodzice. Takie rozwiązanie kwestii wychowania w szkole jest

zbyt pochopnym przekreśleniem pewnych stanów faktycznych, a z drugiej strony przynosiłoby szkodę młodemu człowiekowi.

Podejmowanie funkcji wychowawczej przez szkołę jest potrzebne z kilku istotnych powodów.

Po pierwsze – z uwagi na to, że nie istnieje kształcenie w warunkach szkolnych bez wychowawczego oddziaływania – każde nauczanie realizowane w ramach wszystkich szkolnych przedmiotów ma dużą wartość wychowawczą. *Zmusza bowiem wolę do systematycznych wysiłków, które zarówno w niej samej, jak i w innych władzach duszy, żłobią stałe usposobienia i usprawniają je do czynu*, pisał o. J. Woroniecki w artykule *Zdolność wychowawcza szkoły publicznej i jej granice*.

Po drugie – ze względu na to, że uczeń spędza ogromną część każdego dnia w szkole, co się wiąże z występowaniem wielu sytuacji wychowawczych. Pozostawienie tych sytuacji bez wpływu i moralnej oceny miałoby negatywny wpływ na młodego człowieka.

Po trzecie – do wychowywania szkoła jest zobowiązana przez przepisy oświatowe (przywołany wyżej art. 1 ustawy *Prawo oświatowe*).

Wpływ rodziców na wychowanie w szkole

Wychowawcza funkcja szkoły znajduje swój materialny wyraz w dokumencie, który nosi nazwę *Program wychowawczo-profilaktyczny*. Głównym celem tego programu jest kształtowanie właściwych postaw uczniów i przyjaznego klimatu szkoły. Każda szkoła ma obowiązek taki program – w sposób przemyślany – przygotować (art. 26 ustawy *Prawo oświatowe*). Wiąże się to z koniecznością przeprowadzenia wcześniej (i w każdym roku) diagnozy potrzeb rozwojowych uczniów, w tym także czynników ryzyka

i czynników chroniących. Należy mocno podkreślić, że rodzice mają możliwość wpływać w istotnej mierze na działanie wychowawcze szkoły, ponieważ zgodnie z prawem oświatowym program wychowawczo-profilaktyczny uchwała rada rodziców w porozumieniu z radą pedagogiczną. Tak więc od zaangażowania rodziców zależy może model wychowawczy, jaki będzie realizowany w murach szkoły.

To uprawnienie rady rodziców sprawia, że konstytucyjne prawo rodziców do wychowania swych dzieci zgodnie z własnymi przekonaniemami ma szansę być rzeczywiście realizowane. Do kompetencji rady rodziców (która jest powoływana obowiązkowo w szkołach publicznych prowadzonych przez jednostki samorządu terytorialnego) należą ponadto: opiniowanie programu i harmonogramu poprawy jakości kształcenia lub wychowania, jak również projektu planu finansowego składanego przez dyrektora szkoły. Warto także dodać, że rada rodziców (na podstawie art. 84 ustawy *Prawo oświatowe*) może występować do dyrektora i innych organów szkoły, również do organów: prowadzącego i nadzoru pedagogicznego, z wnioskami i opiniami we wszystkich sprawach szkoły.

Jeszcze inną formą kształtowania przez rodziców wychowawczej funkcji szkoły jest rada szkoły, która nie jest ciałem obowiązkowym, ale funkcjonuje w wielu szkołach. W skład rady szkoły, która liczy co najmniej 6 osób, wchodzi w równej liczbie: nauczyciele wybrani przez ogół nauczycieli; rodzice wybrani przez ogół rodziców i uczniowie wybrani przez ogół uczniów. Rada szkoły uczestniczy w rozwiązywaniu spraw wewnętrznych szkoły, a także m.in.: uchwała tak ważny dla wychowania dokument, jakim jest statut szkoły; opiniuje projekt planu finansowego szkoły; opiniuje plan pracy szkoły, projekty eksperymentów pedagogicznych oraz inne sprawy istotne dla szkoły.





Joanna Olędzka

KTO IDZIE NA ZEBRANIE?

Sposoby integracji „klasowych” rodziców – czyli kiedy jest ten niewidzialny moment, gdy wrastamy w klasę całym sobą i stajemy się klasową rodziną

To co, losujemy zapalki, kto idzie na zebranie do szkoły? – powiedziała żona do męża w pierwszych dniach września. Brzmi znajomo?

Jeżeli znajomo, to dlaczego tak jest, że jako rodzice tak niechętnie angażujemy się w działania w szkole, w spotkania z rodzicami z klasy własnego dziecka? A może dlatego, że nic ciekawego się tam nie dzieje; suche podawanie informacji organizacyjnych, podpisywanie stosów wszelakiego rodzaju „zgód”...?

A kojarzymy ten kulminacyjny moment pierwszego zebrania, czyli wybór trójki klasowej? Wtedy dopiero się zaczyna... Wszyscy rodzice gorączkowo szukają czegoś pod ławkami, na podłodze, nagle muszą sprawdzić, co to znajduje się w torbie, z którą przyszli na spotkanie, albo wyglądają przez okno, bo zauważyli tam coś niezwykłego. Mało kto chce być zauważony

czy też usłyszeć, aby jego nazwisko padło jako propozycja kandydata na stanowisko przewodniczącego grupy rodziców. Ciekawe jest to, że taka sytuacja ma miejsce na każdym etapie edukacji – tak samo jest i w przedszkolu, i w szkole.

Co by się musiało zmienić, aby rodzice chętnie zaangażowali się w propozycje szkoły, nauczyciela? Kiedy chcemy się w coś włączyć? Kiedy z chęcią dokądś idziemy, by spotkać się z konkretnymi ludźmi? Odpowiedź wydaje się dość oczywista: angażujemy się wtedy, gdy dobrze się czujemy w danym środowisku. A żeby tak było, należy zadbać o budowanie relacji międzyludzkich. Można więc zapytać – jak ja, rodzic, mam, a może – po co mam, budować relacje w szkole z nauczycielem i innymi rodzicami? Ważne, by moje dziecko potrafiło taką relację stworzyć z dziećmi z klasy i z wychowawcą. Zdarza się jednak też tak,

że rodzice idą z dzieckiem do szkoły czy przedszkola pełni entuzjazmu, energii, pomysłów, a tam... nie ma przestrzeni na działanie, współpracę. Spotykają się z podawczą formą, nienastawioną na relację.

Wieloletnie doświadczenie – jako rodzica, ale i jako nauczyciela – utwierdza mnie w przekonaniu, że nie da się być prawdziwym wsparciem dla dziecka, jeżeli miejsce, w którym ono przebywa tyle godzin, jest tylko jego sprawą. Odpowiedzialność za wychowanie leży po obu stronach. Kiedy dziecko czuje, że jego klasa, nowa społeczność, jest ważna również dla rodziców, wtedy zaczyna się z tym środowiskiem utożsamiać. Chętnie w nim przebywa, angażuje się w różne działania, chce pielęgnować klasowe znajomości również po szkole.

Takie nastawienie towarzyszy mi od bardzo wielu, wielu lat. Prowadzona, a właściwie napędzana takim sposobem myślenia, postanowiłam prawie dwadzieścia trzy lata temu, że kiedy zostanę nauczycielem, to chcę, aby w klasach, które będę prowadzić, relacje były NAJWAŻNIEJSZE.

Jak to można realizować na poletku szkolnym? Kiedy po raz pierwszy spotykam się z rodzicami moich uczniów, zawsze staram się pamiętać, że także dla nich, nie tylko dla dzieci, to spotkanie jest czymś nowym, nową przygodą. Od samego początku mam na uwadze, by to, co mówię, robię, było budujące. Chcę, by rodzice poczuli, że mnie – tak jak im – zależy na dobru dziecka, że mogą na mnie liczyć, ale i ja chcę móc liczyć na nich. Mam świadomość, że na zebrania rodzice niejednokrotnie przychodzą z bagażem emocjonalnym z całego dnia. Czuję ich zmęczenie, dlatego tak bardzo zależy mi, by ten czas nie był czasem straconym. Pragnę, aby każda osoba czuła, że jest integralną częścią klasy, że ktoś dba o ich samopoczucie, rozumie ich potrzeby. Zebranie rozpoczyna się u mnie od tzw. kawusi i małego co nieco. Za pierwszym razem organizacja kawiarenki leży po mojej stronie. Następnym razem rodzice sami, z chęcią, przynoszą coś na wspólny stół. Czasami, kiedy szłam na zebranie jako mama do szkół własnych dzieci, po całym dniu pełnym wielu aktywności, bardzo trudno było mi utrzymać uwagę, a tym samym wykrzesać z siebie zapał do współpracy, chęć angażowania się

w cokolwiek. Niejednokrotnie marzyłam o kubku kawy pitej bez pośpiechu.

Moja klasowa kawiarenka to pewnego rodzaju szansa na dobre spotkanie pod koniec dnia. Kawa to tylko początek. Na pierwszym zebraniu obowiązkowa integracja, oczywiście dostosowana do wieku uczestników – komfort emocjonalny przede wszystkim. Po takiej części klasowi rodzice – z początku obcy sobie ludzie, zaczynają zwracać się do siebie po imieniu. Znikają bariery, rodzice czują się sobie bliżsi, mają szansę otworzyć się na siebie nawzajem. Naturalnie częściej zaczynają żartować, czekają na siebie, chcąc zamienić choć słówko. Kiedy na kolejnych zebraniach zaczyna się „kawusia”, to już nie muszę animować integracji, rodzice wzajemnie się pytają, co komu zrobić, czy podać ciastko... Kiedy widzę, że TWORZYMY już zespół, czuję, że razem możemy góry przynosić. Wiem, że ich zapał, aktywność pozwoli stworzyć cudowny świat, w którym będą dorastać NASZE WSPÓLNE DZIECI.



*...ja jedynie jestem zapalką,
która podpala do działania...*



Byli Rzymianie,
ale i Galowie...

Dowodem tego jest udział rodziców, ogrom włożonych sił, a przede wszystkim bardzo dobra zabawa całych rodzin podczas OTRZĘSIN klas pierwszych.

Jest to impreza, w której ja jedynie jestem zapałką, która podpala do działania. Jednak ogień emocji, różnorodność form realizacji, to dzieło i sukces właśnie rodziców. Trudno opisać piękno uśmiechu, prawdziwą radość, która towarzyszy dzieciom podczas spotkania. Dzieci widząc swoich ukochanych rodziców przebranych za różne postacie, prowadzących konkurencje, są pełne dumy, a zarazem zachwytu i niedowierzania, że ich bliscy potrafią bawić się – właśnie – jak dzieci.

Co roku otrzęsiny przebiegają według tego samego schematu. Dzieci przychodzą do szkoły w sobotę z jednym z członków rodziny, zupełnie nie wiedząc, po co. Ostatnio rodzice powiedzieli swoim pociechom, że jest wspólna rodzinna akcja sprzątnięcia szkoły. Dzieci dość niechętnie chciały do niej iść, coś się dziwić... w wolny dzień i w takiej sprawie. Jednak już na progu uczniowie mogli zobaczyć swoich bliskich – w przebraniu.

Zeszłoroczne zdarzenie nazwaliśmy Olimpiadą u Asterixa i Obelixa (bazowaliśmy na 12 *pracach Asterixa*).

Duża część szkoły zamieniła się w galijską wioskę, ale była też komnata Cezara czy stadion Koloseum. Kiedy wszyscy się już zebrali, główne postacie witały dzieci, wprowadzały je do zabawy, tłumacząc, jakie czekają ich zadania. Druid Panoramix przygotował nawet specjalny eliksir, który dzieci musiały wypić, by sprostać temu, co przed nimi. Następnie pierwszaki brały udział w różnego rodzaju konkurencjach. A na koniec, po przejściu wszystkich zadań, wypity sok z cytryny, co było ostateczną próbą, potwierdzającą ich gotowość do zostania uczniami naszej szkoły.

Skoro tym razem bawiliśmy się u Asterixa i Obelixa, to rodzice byli poprzebrani właśnie w postacie z tego komiksu. Byli Rzymianie, ale i Galowie, a nawet pies Idefix. Konkurencje również bazowały na przygodach znanych wszystkim bohaterów. Zadaniem dzieci było na przykład odgadnięcie zagadek u Cezara, stworzenie przy pomocy specjalistycznych urządzeń kuchni Panoramixa barw pochodnych z trzech kolorów podstawowych czy też udział w grach zręcznościowych na stadionie Koloseum albo... sprawdzanie swojego węchu w zawodach Idefixa. Przez cały czas dzieci zdobywały medale, które były potwierdzeniem zaliczenia zadania. Było przy tym dużo śmiechu i biegania, a rodzice, dziadkowie i rodzeństwo bawili się w zasadzie nie gorzej niż dzieci (przy czym tylko dziadkowie byli obserwatorami).

Zawsze jest to czas ogromnej radości i prawdziwej rodzinnej zabawy. Czas łączący pokolenia, bo przybywają całe rodziny, rodzeństwa, dziadkowie. To szansa na BYCIE RAZEM. Na stwarzanie RELACJI, która tak rzadko jest udziałem naszego obecnego świata.

Kiedy zatracimy w sobie wewnętrzne dziecko, trudno patrzeć na świat oczami małego człowieka. Nasze dzieci – mówię to jako mama, ale i nauczyciel – bardzo szybko będą zmuszone przez świat, panujące trendy, do szybkiego bycia dorosłym. Radość dziecięcej zabawy, rodzinne spędzanie czasu, niestety stają się tematem *passé*. A może to my, dorośli, boimy się pokazać dziecięcą twarz? Myślimy, że ludzie nie będą nas traktować poważnie. Czasami jednak to właśnie W TEJ PROSTOCIE TKWI SUKCES RELACJI. Dziecko mówi wprost, nie zakłada masek i chce, by tak samo do niego mówiono. Chce być rozumiane i chce rozumieć innych.

W klasowej rodzinie są jednak nie tylko dzieci i ich rodzice. W ciągu roku szkolnego jest kilka takich momentów, kiedy do naszego grona dołączają całe rodzeństwa, ale i dalsza część rodzin, a często także ich przyjaciele. Jednym z tych momentów są rodzinne warsztaty świąteczne. To kolejna szansa na spotkanie, na zatrzymanie się w tym pędzącym świecie, na zaplanowany czas, który będzie mnożył się przez dzielenie wspólnych chwil. To możliwość „usłyszenia się” w prostych czynnościach, bycia w pełni dla drugiego, to czas skupienia się na bliskim i ćwiczeniu się w pomocniczości i otwartości. Dzięki np. wykonywaniu ozdób świątecznych dzieci nie tylko spędzają miłe chwile z rodziną, ale mogą zrobić też coś dobrego dla kogoś, kogo nie znają. Część ich prac idzie na kiermasz charytatywny. Takie wspólne przeżywanie, współdziałanie, połączone jednym celem, uczy właściwych relacji człowieka z człowiekiem. Integruje na wielu płaszczyznach.



Kiedy myślę o szerokiej integracji zespołu klasowego, to zawsze pamiętam o jeszcze jednym aspekcie działania, a właściwie oddziaływania – międzypokoleniowym. Nie byłoby mnie – nauczyciela – gdyby nie decyzja na TAK, na RODZICIELSTWO, przez dziadków moich uczniów. Dlatego przywiązuję dużą wagę do klasowego świętowania Dnia Babci i Dziadka. Oczywiście dzieci przygotowują przedstawienie, upominki, natomiast inną ważną, integralną i budującą relacje częścią spotkania jest rodzinne kolędowanie, okraszone domowymi wypiekami. To czas, kiedy dziadkowie uczniów dzielą się rodzinnymi historiami, wspólnie śpiewają kolędy, nawet do mikrofonu. Da się słyszeć, jak z każdym wyśpiewanym słowem stają się coraz bardziej odważni, otwarci na siebie. Zaczynają śpiewać na głosy, ktoś przyznaje się, że gra na jakimś instrumencie... Wnuczęta siedzą u stóp lub na kolanach babć i dziadków. Panuje radość z bycia dla siebie nawzajem. Planujemy, co

będzie i jak będzie się działo za rok, gdy się spotkamy. To czas, który bardzo głęboko dotyka serca, wzrusza, pozwala kolejny raz zatrzymać się na chwilę i zaczerpnąć ze źródła rodzinnej miłości i ciepła.

Nie wyobrażam sobie codziennej pracy w szkole bez pamiętania o naczelnym celu, dla którego zostałam nauczycielem. Chcę towarzyszyć dzieciom, być obok, kiedy nie ma rodziców i pomagać im w rozwijaniu skrzydeł, z którymi się urodziły, a które inni nierzadko tak łatwo podcinają. Chcę, by dzieci miały w szkole drugi dom, a rodzice pamiętali, że w tym domu są zawsze mile widziani, słyszani i dla drugiego ważni.

To co? Kto idzie dzisiaj na zebranie?



...uczniowie mogli zobaczyć swoich bliskich – w przebraniu.



Karolina Małecka-Wojtasiak

CO Z TYM CZYTANIEM?

Początek września. To już 11. rok, odkąd na jednej z pierwszych lekcji podaję spis lektur i... patrzę na twarze moich uczniów. Nie mówią już one, że nie przeczytają, bo to głupie, bezsensowne i w ogóle nie-dzisiejsze. One nie wyrażają już wiele. Te twarze są nie tylko znudzone, są obojętne. Co więcej, minęły już czasy, gdy licealiści panicznie bali się złapania na nieznajomości tekstu. Przeszukiwali streszczenia, robili z nich notatki (tak, tak, kiedyś tak było!), zakuwali szczegóły, żeby uśpić czujność polonisty. I, szczerze mówiąc, wychodziło im to całkiem dobrze. Teraz już nie szukają, nie muszą, nie chcą. Z pozorną uczciwością mówią, że nie przeczytali. To ma zakończyć dyskusję i przywrócić im święty spokój.

Czas to pieniądz

Całkiem niedawno obserwowałam znudzone twarze licealistów. Wiadomo: bunt, dorastanie, a nawet

moda na nieczytanie. Teraz ta lawina poszła dalej. Po kilku latach przerwy wróciłam do szkoły podstawowej i, niestety, zdziwiłam się, że tu także panuje trend zarezerwowany wcześniej dla starszych. Nastąpiła przełomowa zmiana – nie prowadzę już rozmów z rodzicami na temat wyższości czytania nad słuchaniem audiobooków. Jednak audiobooki zabierają zbyt wiele czasu... Tylko czyjego czasu?

Świat rodziców stał się wypełniony przez pracę (i nie rzucam kamieniem, sama spędzam większość swojego czasu w pracy). Dzieci po lekcjach idą do świetlicy, a potem na wiele zajęć dodatkowych. Zdarza się, że wracają do domu koło 18.00, a w szkole rano były o 7.30. Każdy dorosły byłby zmęczony po takim maratonie, a co dopiero dziecko. Musi jeszcze zjeść kolację, odrobić lekcje i położyć się spać tak, by funkcjonować w szkole następnego dnia. Wspólnie spędzone chwile

z rodzicami? Trudno je znaleźć wśród tygodnia wypełnionego rozmaitymi zajęciami. Nie ma też mowy o wspólnym CZYTANIU wieczorem czy obserwowaniu, jak czytają rodzice. Znikają te obrazy i czynności, które my przecież pamiętamy z dzieciństwa. To wtedy przenosiliśmy się w świat wyobraźni, baśni, w której dobro zwyciężało nad złem. Zmęczone dzieci, nastolatki, czy w końcu dorośli, szukają nieskomplikowanej rozrywki, niewymagającego przesuwania prostych filmików z muzyką. Kolejny, kolejny i kolejny. Nie chodzi o to, żeby czegoś się dowiedzieć, a „odpocząć” i posłuchać prostych historii.

Jak złudne jest takie podejście do odpoczynku, pokazują najnowsze badania. Nasze mózgi przestają nadążać, są przebudżowane, układ nerwowy przeciąża się. Konsekwencje okazują się bardzo kosztowne – mózg, broniąc się, wywołuje gorszy nastrój, popada w zaburzenia lękowe, depresje. Wychowujemy nowe pokolenie młodych ludzi obciążonych demencją! Mówimy dziś także o nowym zjawisku – demencji cyfrowej. Termin ten został stworzony przez neurobiologa – Manfreda Spitzera, który w swojej książce *Cyfrowa demencja* pisze, że: *na strukturę mózgu wpływ ma nie tylko to, czemu poświęcamy dużo czasu, lecz także to, czego nie robimy. Jeśli kiedyś dzieci spędzały wolne chwile na podwórku, grając w piłkę, bawiąc się, kłócąc i godząc, to struktura ich mózgów była inna niż osób, które kilka godzin dziennie przesiadują samotnie przy komputerze*. Jaki jest mózg dziecka, któremu rodzice nie czytają? Czy będzie umiało ono zrozumieć szkolną czytanekę? Co więcej, czy będzie samo umiało czytać? Czy będzie chciało tak spędzać czas? W końcu – czy nasze mózgi tak się zmieniają, że tracimy tę podstawową umiejętność...

Razem z czytaniem powoli ginie też opowieść. Brakuje opowiadaczy, którzy snuliby historię. Nie dotyczy to nawet wielkiej i literackiej opowieści, ale prostej, codziennej historii – o przodkach, o wizycie w sklepie czy o otaczającej rzeczywistości. Coraz częściej brakuje dziadków, którzy dawniej przekazywali skarbiec wiedzy o rodzinie, zdradzali tajemnice, dodawali swój punkt widzenia w sprawie rodzinnych tragedii, zabierali na spacer, na ryby, do dalszej rodziny. Przemiany społeczne związane z koniecznością pracy zabrały i tę niezachwianą instytucję opowiadaczy. Dziadkowie

też nie mają czasu dla wnuków, dla niemających czasu swoich dzieci, które nie znajdują chwili, by podrzucić dzieci do babci i dziadka. Czas stał się najcenniejszą walutą współczesnego świata.

Jak przetrwać?

Skoro więc nikt dziś nie ma czasu, czy śmierć opowieści jest przypieczętowana? Czy razem z czytaniem musi wyginać też kreatywność? Czy musimy biernie poddać się przemianom, zaakceptować nową rzeczywistość?

Wnioski wyciągnięte na podstawie obserwacji mogą przytłaczać, również nas, nauczycieli, którzy codziennie mierzymy się ze skutkami przemian. Nikt nie czyta, a podstawę trzeba realizować, jak więc przetrwać?

Po pierwsze, mimo wszystko zawsze znajdzie się ktoś, kto tekst zna i przeczytał – bo rodzice kazali i zmusili; bo siostra wspomniała, że „fajne”, bo jest ktoś, komu zależy na ocenach. Jeżeli jest więc grupa, która czyta, trzeba spróbować utrzymać ten stan i wierzyć, że być może inni też się zarażą. I to już zależy od nas.

Poniższe przykłady działań aktywizujących czytelnictwo mogą być gotowym rozwiązaniem i urozmaicheniem lekcji. Może także zainspirują rodziców, aby spróbowali ich w domu? I okaże się, że niezainteresowany dotąd uczeń sięgnie jednak po lekturę, bo go zaintryguje, okaże się współczesna lub po prostu nie chce przegrać domowej rywalizacji czy szkolnego konkursu.

Czytelniczy kalendarz adwentowy

Oczywiście na początku warto jest dobrze poznać zespół uczniów, z którymi pracujemy. Ja przypadkiem odkryłam, że moi piątoklasiści uwielbiali, kiedy im opowiadałam (na szczęście!). Najważniejsze rozmowy, zabawy w wojnę za pomocą gumki i linijki zniknęły. To cenne przeżycie i muszę przyznać, że dawno nie doświadczyłam tego, by ktoś tak mnie słuchał. Z czytaniem było już nieco gorzej. Wymyśliłam więc czytelniczy kalendarz adwentowy. Zadaniem było przygotowanie w domu okienek i ozdobienie swoich



kalendarzy. Następnie na każdej grudniowej lekcji czytałam im fragment książki, a uczniowie mieli uzupełnić przesłanie, które z tej opowiadki wynikało. To miała być ich interpretacja. Oczywiście każdemu na początku było trudno – i mnie, bo przecież ciągle przeżywałam rozterki, czy zrealizuję podstawę programową, skoro tak się „bawię”, i im, bo do okienka wpisywali po jednym słowie. Stopniowo jednak zrozumieli, czym jest interpretacja i cudownie wciągnęli się w opowieść. Chcieli, bym czytała więcej, żebym zdradziła zakończenie, sami snuli (!) historię, dyskutowali o bohaterach i ich zachowaniu. Zaczęli się też zastanawiać, co oni zrobiliby na miejscu bohatera. Po zebraniu kalendarzy byłam zaskoczona, jak dojrzałe przesłania potrafili sformułować. Zrozumiałam też, że jednym działaniem wykształciłam umiejętności opisane w kilku punktach podstawy programowej.

Escape room i jego „deformacje”

Forma *escape roomu* pojawiła się nieco przypadkowo i ewoluowała z formy „interaktywnego muzeum”, przygotowywanego kiedyś jako projekt przez moich gimnazjalistów. Chodzenie od stolika do stolika, odgadywanie odpowiedzi i przechodzenie dalej,

zostało przez nich nazwane *escape roomem*. Okazało się to świetną formą powtórki przed egzaminem, szczególnie wtedy, gdy starsi uczniowie przygotowywali stacje zadaniowe dla młodszych, oczywiście pod naszym nauczycielskim okiem. W taki sposób sprawdziliśmy wiedzę licealistów i ósmoklasistów o *Panu Tadeuszu*. Starsi zostali podzieleni na przyporządkowane bohaterom grupy – Telimeny, Jankiela, Zosi itd. Musieli ułożyć tematyczne zagadki związane z daną postacią, np. prosili ósmoklasistów o napisanie zaproszenia na bal przygotowywany przez Telimenę. Oprócz tego musieli wykreować stanowisko swojej postaci, jak również przygotować dla niej strój. Znalazł się też element nowoczesnej technologii – ósmoklasiści na wstępie odczytywali wygenerowany kod QR i wykonywali zadanie. Co ciekawe, gdy ówcześni ósmoklasiści zdali już do I klasy liceum, sami dopominali się o taką formę pracy i nadal chętnie organizują podobne *escape roomy* dla młodszych.

Taki *escape room* robiliśmy również na temat epok literackich. To świetne przypomnienie wiadomości dla maturzystów, a ich młodszy koledzy czują się dowartościowani tym, że przygotowali coś dla najstarszych w szkole.

Odmianą *escape roomu* dla szkoły podstawowej jest przygotowywanie przez nauczyciela zadań, które uczniowie rozwiązują przy poszczególnych stacjach i zgłaszają się do punktu kontrolnego – nauczyciela. Po zaliczeniu danego typu zadań mogą przejść dalej. Polecenia dotyczyć mogą ułożenia planu wydarzeń, dopasowania postaci do opisu, przygotowania krótkiego folderu, napisania opisu. Ważne jest, by były to zadania otwarte i by wśród nich znalazło się pisanie krótkiego tekstu: zaproszenia, ogłoszenia itd. Taką lekcję można połączyć np. z czekoladową ucztą, gdy omawiamy lekturę *Charlie i fabryka czekolady*.

Urodziny lekcji

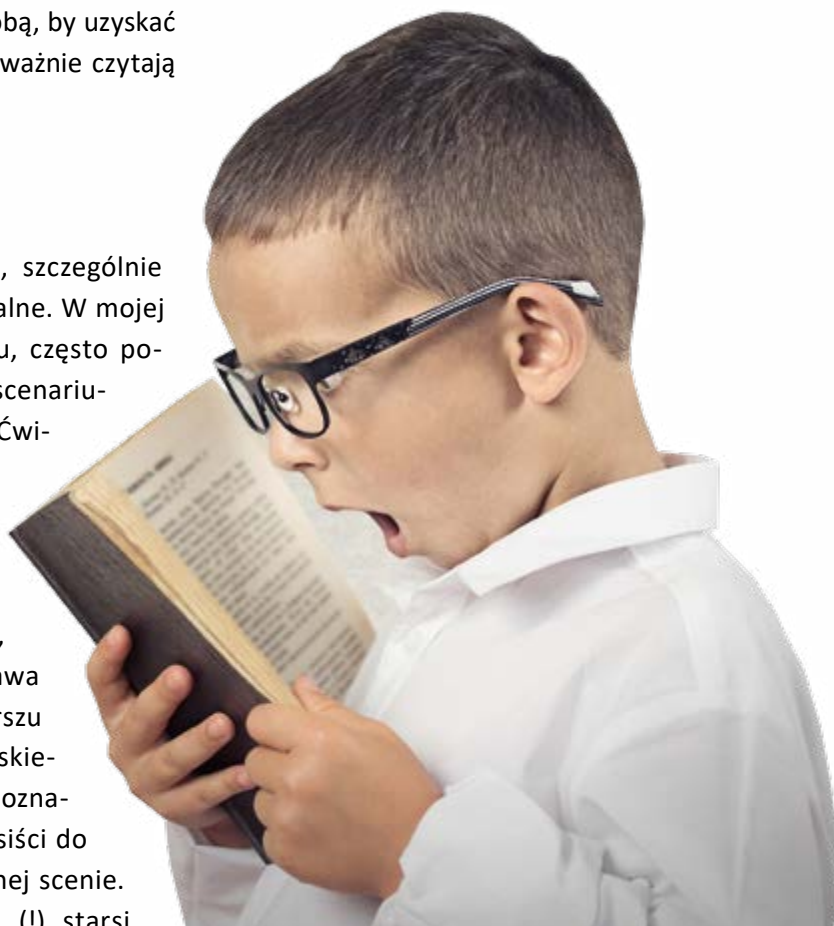
W szkole podstawowej uczniowie jeszcze skrupulatnie numerują lekcje. Jeżeli obiecamy im niezwykłą lekcję nr 100, to musimy ją zrealizować – uczniowie nas przypilnują. Wraz z nimi nazywam ją urodzinami lekcji i wykorzystuję do powtórzenia lektur oraz gramatyki. Sięgam też po koło fortuny, które uczniowie znają z filmów ulubionych youtuberów. Na kole można umieścić numery zadań, punktację lub samo pytanie. Chętnie rywalizują między sobą, by uzyskać jak najwięcej punktów. I naprawdę uważnie czytają książki, by wygrać kolejne zmagania.

Teatr!

Nic tak nie motywuje do czytania, szczególnie dramatów, jak przedstawienie teatralne. W mojej szkole odbywa się ich kilka do roku, często powstają na podstawie autorskich scenariuszy, ale też na podstawie klasyki. Ćwiczenie roli, wybieranie kostiumu, a w końcu występ przed publicznością są skuteczną motywacją do poznania i interpretowania tekstu. Rozbudza też wyobraźnię młodszych, którzy dopytują później, co to za zjawia pojawiała się w tekście, w jakim wierszu diabeł uciekał przed żoną Twardowskiego. I zdecydowanie chcą te teksty poznać. Taką miłością zapalali piątoklasiści do *Hobbita*, którego zobaczyli na szkolnej scenie. Wystawili go i napisali scenariusz (!) starsi

koledzy z liceum. Efekty świetlne, dźwiękowe i piękne stroje pobudziły wyobraźnię młodszych, którzy następnie skrupulatnie potrafili wytknąć, co pominęli w tekście ich koledzy.

Od dwóch lat włączamy się również, dzięki współpracy z lokalną miejską biblioteką, w obchody Narodowego Czytania. Nasza szkoła przygotowuje przedstawienie na podstawie wybranej lektury, które wystawiamy przed mieszkańcami miasta i okolic, a także w naszej szkole. Ciekawą formę miał tegoroczny spektakl wyreżyserowany przez moją koleżankę – polonistkę. Przedstawienie polegało na dyskusji pomiędzy dwoma młodymi osobami na temat aktualności *Nad Niemnem* Orzeszkowej. Popierająca dzieło pozytywistycznej pisarki bohaterka przywoływała kolejne sceny podejmujące aktualne wciąż problemy. I tak widownia obserwowała spór pokoleń, problem emigracji czy wizerunek zmanierowanego współczesnego celebryty, którego tak bardzo przypomina Różyc. Taka forma czytania lektury ma pokazać, że świat wykreowany przez pisarzy wcale nie jest obcy współczesnemu nastolatki.



W mojej szkole funkcjonuje scena, świetnie wyposażona (gromadzona latami) garderoba, jest dobre nagłośnienie i oświetlenie, ale pamiętam doskonale, jak przedstawienia wystawialiśmy z najmłodszymi na korytarzach szkolnych. Moja klasa szósta w taki sposób zagrała *Sposób na Alcybiadesa*.

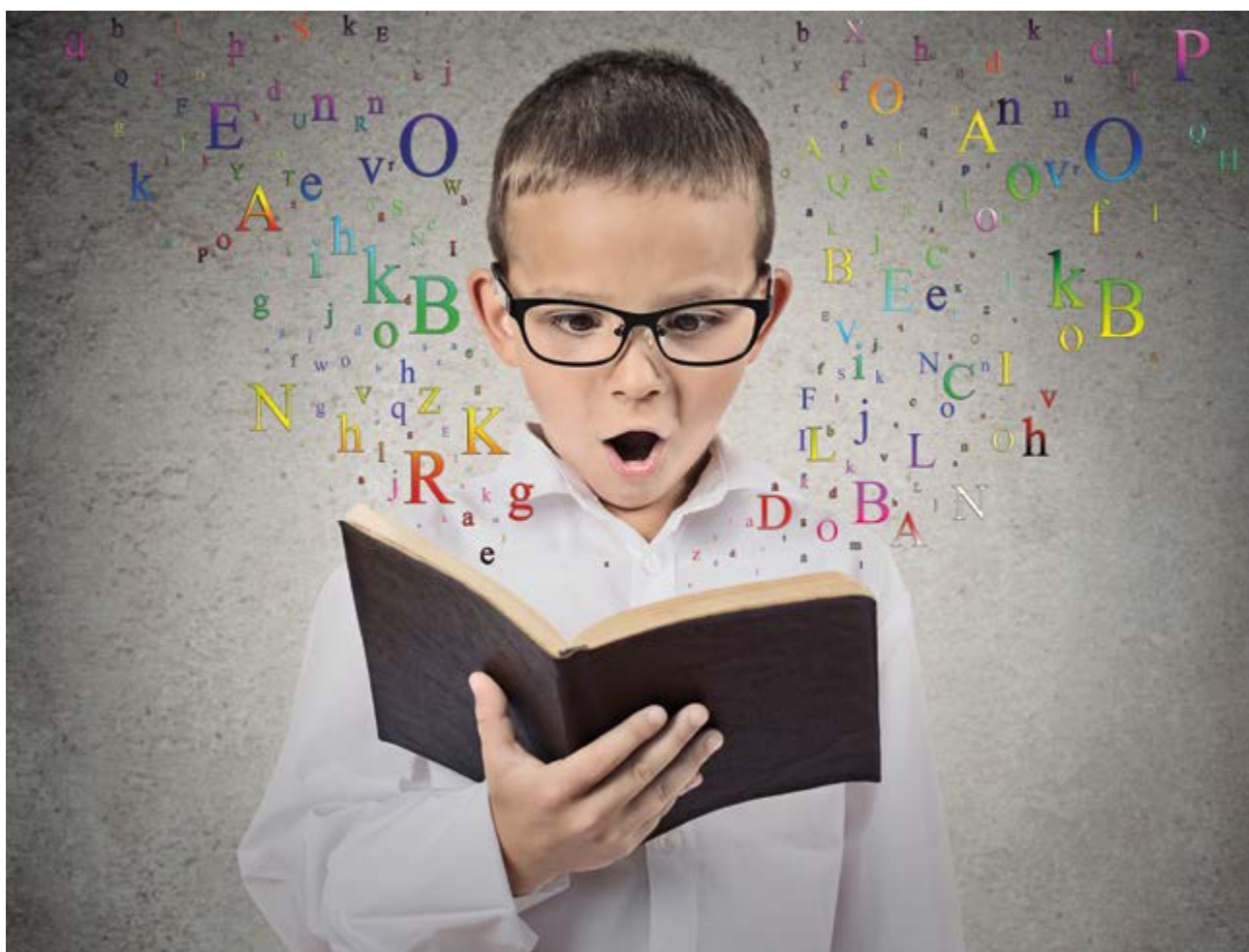
Konkurs czytelniczy

Rywalizacja ta, dobrze rozumiana, może być skutecznym i twórczym sposobem zachęty do czytania. Warto zacząć od tych prostszych, międzyklasowych rywalizacji i wybrać lektury, które są współczesne i interesują uczniów. Może być to też alternatywa dla kartkówki sprawdzającej wiedzę. Uczniowie chętnie poznają tekst, gdy zostaną uprzedzeni, że będą się mierzyć z kolegami z klasy równoległej. Sprawdzian taki może mieć formę pisanego konkursu, ale też zmagania na zasadzie znanych teleturniejów.

Można organizować konkursy czytelnicze dla innych szkół. W szkole, w której pracuję, już od kilkunastu lat

organizujemy dwa konkursy czytelnicze. Aktualnie jest to Konkurs Literacki przeznaczony dla klas VII–VIII oraz Konkurs Czytelniczy dla uczniów klas IV–VI. Od lat współpracujemy przy organizacji tych konkursów z Biblioteką Miejską w Łowiczu, Wydziałem Filologicznym Uniwersytetu Łódzkiego oraz Wojewódzką Biblioteką Publiczną w Łodzi. Uczestników przyciągają ciekawe książki, rywalizacja oraz atrakcyjne nagrody, w tym książki.

To kilka propozycji rozbudzania kreatywności naszej – nauczycielskiej oraz uczniowskiej. Niektóre z nich wymagają więcej pracy, ale są też te prostsze, jak np. czytelniczy kalendarz adwentowy. Żadna jednak z tych form nie gwarantuje, że uczniowie będą czytać. Może będą tylko próbować, może przeczytają tylko tę jedną książkę... Myślę jednak, że nawet jednora-zowo przeprowadzona oryginalna lekcja będzie i dla nich, i dla nas przyjemniejsza. Odpocznijmy od zadawania pytań o lekturę, czasami milczenia klasy. Przetrywamy. Nawijemy też relację z naszymi uczniami i może przekonamy, że świat literatury bywa ciekawszy od wirtualnego.





OCENY NIE SĄ TAKIE WAŻNE

Ocenianie ucznia przez nauczyciela jest chyba tą częścią codzienności szkolnej, która wzbudza najwięcej emocji – choć jasne jest, że uczeń powinien dostawać informację zwrotną o tym, jak sobie radzi z przerobionym materiałem i jakie posiada kompetencje w zakresie konkretnej wiedzy i umiejętności. Jest on oceniany ponadto przez samego siebie i w szczególny sposób – przez rówieśników, gdy ci się z nim porównują.

Od lat trwa więc w szkole dyskusja, co i jak zrobić, by ocenianie miało pozytywny wpływ na ucznia, by nie zniechęcało go, a działało mobilizująco. Jednym z działań jest stosowanie w klasach edukacji



wczesnoszkolnej oceny opisowej, co ma służyć skupieniu się na wiedzy i umiejętnościach ucznia, a nie na jego brakach. Taki sposób oceniania prawo oświatowe rekomenduje w klasach starszych, natomiast nakazuje – w młodszych, ponieważ w tym okresie każde dziecko rozwija się w swoim tempie i jest też zwykle zmotywowane do pracy, a ocena cyfrowa mogłaby ostudzić jego zapał do nauki.

Opisowy sposób oceniania pojawił się już na początku XX wieku w szkołach poszukujących nowych rozwiązań edukacyjnych i stosujących program eksperymentalny. Współcześnie celem nadrzędnym oceny

opisowej jest indywidualny rozwój dziecka, a nie realizacja podstawy programowej. Ponadto ocena ta ma być dla rodziców czytelną wskazówką, co dziecko już wie, co powinno uzupełnić i jak ma to zrobić.

Szczególnym rodzajem oceny opisowej jest rekomendowana ostatnio przez prawo oświatowe ocena kształtująca, która skupia się na osobistym rozwoju ucznia i jego wynikach. Ponieważ każdy człowiek ma swoje predyspozycje, talenty, ograniczenia i trudności, komentarz nauczyciela jest konieczną wskazówką na ten temat, daje również sygnał o zaangażowaniu i wkładzie pracy ucznia, stanowiąc ważną informację dla rodzica, który nie zawsze zdaje sobie sprawę z możliwości swojego dziecka. Z tego samego powodu, zwłaszcza w szkołach publicznych, w których nie ma dodatkowych komentarzy pisemnych do stopni, taką rolę spełnia osobisty kontakt z nauczycielem. Rozwiązanie to dotyczy przede wszystkim sytuacji nadzwyczajnych, gdy uczeń jest wybitnie uzdolniony w jakimś zakresie lub gdy ma szczególnie trudności z nauką danego przedmiotu. Ustny komentarz nauczyciela w bezpośredniej rozmowie w przypadku starszych uczniów lub z uczniem młodszym i jego rodzicem jest tutaj bezcenny.

Niestety, ten system oceniania w Polsce stosuje się w wyższych klasach szkoły podstawowej raczej w placówkach niepublicznych, w edukacji alternatywnej. W placówkach publicznych na drugim etapie edukacyjnym, czyli w klasach 4–8, obowiązuje ocenianie stopniowe, czyli oceny cyfrowe (choć trzeba tu podkreślić, że nauczyciel ma możliwość ograniczenia się w ciągu półrocza do tylko jednej, końcowej oceny – pozostałe mogą być opisowe). W niektórych szkołach niepublicznych uzupełnia się ocenę cyfrową dodatkowo komentarzem.

Tytułowa, może przewrotna fraza: *Oceny nie są ważne*, ma głęboki sens i wskazuje na istotę oceniania. Chęć zdobywania wiedzy i zaangażowanie ucznia są bowiem ważniejsze niż same wyniki. Zdarza się przecież, że w jakimś obszarze uczniowie nie są geniuszami i choć zmagają się z materiałem szkolnym z pełnym samozaparciem, ich działania nie przynoszą oczekiwanych efektów w postaci pozytywnej oceny. Podczas kolejnej weryfikacji wiedzy widać, że

opanowanie materiału uległo co prawda poprawie, ale nadal jest niewystarczające. Stosowana ocena niedostateczna wskazuje, że wiedza nie została opanowana i dyskwalifikuje ucznia. Taka informacja może go zniechęcić i w sposób znaczący wpłynąć na jego zaangażowanie. Wtedy ważny okazuje się komentarz nauczyciela, udzielenie wsparcia i podtrzymanie ucznia na duchu. Informacja zwrotna jest niezwykle istotna, bo przecież ocena to nie wszystko.

Zdarza się, że uczniowie uczą się dla oceny. Ich zainteresowanie nauką często wynika też z oczekiwań rodziców. Nie chodzi jednak o to, by nie wymagać od dziecka zaangażowania i rzetelności w szkole. Istotne jest, by stopnie nie przesłoniły uczniowi pasji poznawczej, by ukształtować w nim chęć zdobywania wiedzy w myśl przekonania, że uczymy się, by wiedzieć, a nie otrzymać oczekiwaną ocenę lub rywalizować z rówieśnikami.

Szkoła powinna być miejscem, w którym uczeń nie tylko zdobywa wiedzę i rozwija zainteresowania zgodnie ze swoimi predyspozycjami. Jest to obszar, w którym powinien nauczyć się również zmagania z ograniczeniami i napotykanymi trudnościami. W szkole powinny być kształtowane i hartowane jego emocje – umiejętność wygrywania i ponoszenia porażki, wzmacnianie woli walki i ducha. Twórzmy zatem wojowników, którzy walczą ze swoimi słabościami, a nie rywalizują w złym tego słowa znaczeniu z innymi uczniami!

Zadaniem szkoły jest również nauczanie młodych ludzi współpracy i umiejętności udzielania wzajemnego wsparcia. Te kompetencje będą im potrzebne na studiach czy później, w realizacji wyzwań zawodowych. Wtedy przyda się także wcześniejsza nauczycielska lub pochodząca od kolegów i koleżanek informacja zwrotna, potrzebna okaże się też umiejętność samooceny, o którą nauczyciele często proszą, zwłaszcza po zakończeniu jakiegoś projektu.

Stosunek ucznia do szkolnego oceniania w dużej mierze zależy od jego punktu widzenia, a przede wszystkim od podejścia panującego w jego domu, gdzie powinna być zaszczepiona rzetelność i uczciwość w zdobywaniu wiedzy. W szkole działania te

powinny być wzmacniane. Jeśli uczeń zrozumie cel oceniania, nie będzie rywalizował, ale współpracował z kolegami z klasy.

Dobrze pojęte zdobywanie wiedzy i rozbudzenie kompetencji poznawczych kształtuje charakter ucznia. Gdy młody człowiek to zrozumie, nie będzie ściągał i oszukiwał podczas sprawdzianów. Jego celem będzie zdobycie wiedzy, a nie osiągnięcie odpowiedniej oceny. Wszelkie ocenianie powinno być zatem wsparciem w budowaniu przez ucznia samooceny i krytycznego myślenia na swój temat.

Rodzice i nauczyciele powinni uzmysławiać dzieciom, że nie można być świetnym z każdego przedmiotu. Nie mogą domagać się pasków na świadectwie, bo nie wszyscy są geniuszami we wszystkim. Jest

to nierealne! Ważne jest, by stać się geniuszem na własną miarę, w swoim obszarze zainteresowań.

Nauczyciele i rodzice mają też inne wielkie zadanie – nie wymagać za dużo tam, gdzie nie jest to możliwe. Wszyscy wiemy bowiem, że brak sukcesów i osiągnięć mimo dużego nakładu pracy może prowadzić do frustracji i zniechęcenia. Bądźmy więc oparciem dla dzieci, wskazujmy im drogę do zdobywania wiedzy i rozwijania pasji. Niech naszym zadaniem będzie wyjaśnienie, że oceny nie są najważniejsze, stanowią tylko jeden z elementów edukacji.

Jeśli uda nam się nauczyć młodych zdobywania rzetelnej wiedzy i spowodować, że poszerzanie horyzontów będzie dla nich radością, to i oceny będą dobre. Choć nie są najważniejsze...





Helena Radwanowa i Ewa Krauze z uczniami

Barbara Ignaczak

INNE OBLCZE POLSKIEJ SZKOŁY

Narzekając i szukając słabości systemu oświaty, może warto dla równowagi zobaczyć, jak dzieci, rodzice i nauczyciele w dramatycznych wojennych warunkach walczyli o prawo do uczenia się. Spójrzmy na jeden tylko przykład – początki szkoły, która działa do dziś, a zrodziła się pod koniec 1939 roku z decyzji kilku osób o rozpoczęciu we własnym domu, w Zalesiu Dolnym pod Warszawą, tajnego nauczania. Wspomina to Władysław Radwan – nauczyciel i działacz, organizator polskiego skautingu w Królestwie Kongresowym, w międzywojniu organizator kształcenia nauczycieli w ówczesnym ministerstwie oświaty, podczas wojny członek Departamentu Oświaty Delegatury Rządu Londyńskiego. W naszej szkole był *nauczycielem, a także radcą prawnym, palaczem i woźnym*.

Oto wybrane fragmenty wspomnień Władysława Radwana. Dokument ten w postaci kserokopii maszynopisu znajduje się w archiwach szkoły. Nie ma na

nim daty, ale można przypuszczać, że powstał już po zakończeniu wojny.

Komplety przez cały czas swego istnienia korzystały z lokalu w moim domku jednorodzinny – Anny Jagiellonki 7. Nie było to bezpieczne, ale wobec liczebności kompletów nie było innego wyjścia. Dom był dość



Lekcja u chorej Ewy Krauze w domu, rok 1957

duży, sześćcioizbowy, była dostateczna liczba stołów, krzeseł i ławek ogrodowych. Rodzice pierwszych dwóch uczniów ofiarowali przenośną tablicę szkolną, którą przywieźli z Warszawy z jakiegoś zbombardowanego lokalu (...). Był to jedyny mebel odpowiedni do celów szkolnych, bardzo użyteczny, choć było z tą tablicą trochę kłopotów. Parę razy w czasie mojej nieobecności musiała tablicę na gwałt wnosić na strych kierowniczką Krauzowa w czasie jakiejś rewizji i łapanek w otoczeniu.

Prowadzenie takich licznych kompletów było w warunkach okupacyjnych połączone z dużym niebezpieczeństwem. Nieraz przestrzegałem organizatorki przed zbytnim rozszerzaniem zakresu pracy, przestrzegałem daremnie, bo nigdy nie umiały się oprzeć prośbom rodziców o przyjęcie dziecka na naukę. Udało mi się jedynie nakłonić organizatorki, aby się postarały o pozwolenie na prywatne nauczanie. Pojechały do Grójca i przywoziły od powiatowego schulrata (wizytatora) pozwolenie na nauczanie trzech uczniów każda. Nie miało to znaczenia w razie jakiejś akcji likwidującej tajne nauczanie w terenie, ale mogło mieć wartość przy przypadkowym kontakcie z władzami policyjnymi, myszującymi w terenie w poszukiwaniu jakiejś osoby lub szukającymi zapasów żywności. W rezultacie komplety szczęśliwie przetrwały i skończyło się na kilku alarmach, gdy trzeba było wyprowadzać dzieci tyłami przez sąsiedzkie ogrody i wyrzucać tablicę na strych.

Sąsiedzkie ogrody... Z tyłu domu Radwanów mieszkali państwo Leona i Józef Zawadzcy, rodzice Hanny Zawadzkiej, zasłużonej instruktorki ZHP oraz dziejopisarki harcerskiej, i Tadeusza Zawadzkiego „Zośki”, znanego wszystkim z *Kamieni na szaniec*, który jest jednym z symboli walki o niepodległość. To profesorstwo Zawadzcy udzielali schronienia, umożliwiali szybkie rozejście się grup dzieci w czasie łapanek. Na pewno dawali tym przykład odwagi i poparcia dla działalności tajnych kompletów. Dom Zawadzkich był miejscem spotkań instruktorów harcerskich i osób związanych z walką z Niemcami.

Spisów uczniów uczęszczających na komplety ze zrozumiałych względów nie przechowywano (...). Dokładne liczby można podać jedynie dla początku i końca tajnych kompletów. W roku szkolnym 1939/40 było



Ewa Krauze z rodzicami przy budowie nowego budynku szkoły

dwunastu uczniów. W chwili wypędzenia okupantów w styczniu 1945 r. – 92. (...)

Organizacja kompletów i programy były dostosowane do obowiązujących przed wojną w szkołach powszechnych siedmioklasowych.(...)

Program był oparty na przedwojennych programach szkolnych. Były prowadzone wszystkie przedmioty szkolne. Jedynie śpiewu trzeba było się wyrzec, żeby nie zwracać uwagi otoczenia. Zresztą kierowniczką Krauzowa, sama muzykalna, dyskretnie uczyła dzieci najpopularniejszych melodii. Wychowanie fizyczne w czasie zimy było sprowadzone do ćwiczeń śródlekcyjnych przy otwartym łufciku, a w lecie do gier na boisku.

Liczba godzin nauczania poszczególnych przedmiotów była z konieczności zmniejszona.(...) Podręczniki przedwojenne były pieczołowicie przekazywane z klasy do klasy. Pomocy naukowych było bardzo mało. Kilka map, dużo ilustracji w książkach i albumach z biblioteki domowej. Nauczyciele korzystali z książek z tej biblioteki(...).

Dużą pomoc przy nauczaniu stanowiły roczniki „Płomyka” i „Płomyczka”, skompletowane i oprawione w czasie redaktorskiej pracy Heleny Radwanowej.

Komplety były obsługiwane przede wszystkim przez rodzinę – Ewa Krauzowa, Helena Radwanowa, później Władysław Radwan. W roku 1944/45 przybyła Maria Grzegorzewska [polska pedagog, psycholog, profesor, twórczyni pedagogiki specjalnej w Polsce], która – chociaż niespokrewniona – była najbliższym członkiem w naszej rodzinie.



Tak zapamiętała
Ewę Krauze uczennica
Wanda Rodowicz

Maria Grzegorzewska swoją osobowością i wielkim talentem wychowawczym wzbogaciła naszą pracę. (...) Tutaj widziałem tę przedziwną łatwość nawiązywania kontaktu duchowego z dziećmi. Ważne było nie tylko to, czego uczyła, ale to poruszenie strun życia umysłowego i uczuciowego wychowanków w najrozleglejszej skali, jakie daje obcowanie dzieci z bogatą i otwartą osobowością.

Na terenie kompletów zetknęliśmy się po raz pierwszy z trudnym zadaniem zatroszczenia się o los dzieci o różnych uzdolnieniach. Przychodzą na myśl dwa przykłady: była na kompletach dziewczynka staranna, ale o bardzo słabych zdolnościach. Matka nazywała ją głąbem. Raz przyszła do nauczycielki i upomniała się żałośnie o podtrzymanie jej na duchu – „prawda, że ja nie jestem taki głąb?”. Pomimo trudności skończyła szkołę, dostała jakąś pracę biurową i zwierzchnicy byli z niej zadowoleni. Drugi przykład – chłopiec. Inteligentny i z zainteresowaniami przyrodniczymi, ale i z jakimś defektem psychicznym ujawniającym się przy nauce języka polskiego. Nie można go było nauczyć porządnie czytać, wypowiadać się i pisać. Z trudem przeprowadziliśmy go przez program, nie skończył szkoły średniej, ale wyspecjalizował się w jakimś zajęciu związanym z fotografią, pracuje z powodzeniem.

Trudnym okresem w pracy kompletów był rok szkolny 1943/44. W końcu listopada zaniemogła Helena Radwanowa i po paru miesiącach ciężkiej choroby zmarła 19 lutego 1944 r. Niełatwo było domownikom pracować w atmosferze choroby w rodzinie, a trzeba było przy tym zastępować chorą. Ponieważ choroba nie była zakaźna, praca kompletów nie uległa przerwie.

Śmierć Heleny Radwanowej, jednej z dwóch organizatorek kompletów, była dla nich ciosem, ale

nie załamała ich pracy. Komplety rozwijały się dalej.(...)

Kiedy, dobiegając końca relacji o czasach okupacyjnych wracam myślę do pracy naszych kompletów, aby zdać sobie sprawę z ich dorobku wychowawczego, odczuwam wyraźny styl wychowawczy tej pracy, a równocześnie widzę, że rzeczywistość była prosta, zwykła, pozbawiona jakichś szczególnych efektów.

Nie było w toku całej pracy żadnego większego konfliktu wychowawczego, nie było organizacji młodzieżowych, nie było konieczności zastanawiania się nad specjalnymi zabiegami wychowawczymi. Praca wychowawcza odbywała się jakby mimochodem. Po prostu gromadka dzieci uczyła się zbiorowo pod kierunkiem grupki nauczycieli. Wychowywała konkretna praca i rozstrzyganie konkretnych codziennych spraw życia zbiorowego małej społeczności.(...)

Kiedy z perspektywy próbuję ocenić pracę wychowawczą naszych kompletów i wyniki tej pracy, otrzymuję obraz następujący. Największe i najłatwiej osiągnięte rezultaty były tam, gdzie chodziło o obudzenie w wychowankach świadomej postawy, świadomej dobrej woli, świadomej chęci działania wiążącego się z wyższymi ideowymi celami. Dobrym przykładem może tu być zdyscyplinowane zachowanie się dzieci, gdy chodziło o ciche wyjście licznej gromady przez sąsiedzkie ogrody w chwili grożącego kompletom niebezpieczeństwa ze strony Niemców. Innym przykładem jest skuteczność nawoływania do pomagania rodzicom w pracach domowych dla ułatwienia przezwyciężenia czasów ciężkiej walki.

Możność odwoływania się do świadomej postawy dawała cenny punkt oparcia przy budzeniu dążeń samowychowawczych, gdy chodzi o codzienną pracę, codzienne zachowanie się.(...)

Bardzo dobre wyniki dały zabiegi o wdrożenie do poszanowania przez dzieci lokalu kompletów i najbliższego otoczenia. (...) Mieliśmy lokal w domu jednorodzinnym o ładnej architekturze, utrzymywanym w należytej czystości, położonym na terenie placu

o powierzchni ¼ hektara z pięknym starym zadrzewieniem. Koło domu dwa stare dęby, trawniki i róże. Boisko do zabaw na placu tenisowym wśród lasu. Dzieci nauczyły się szanować ładne otoczenie i zachowywać kulturalnie. Wpływ otoczenia szkolnego i sposobu bycia w tym otoczeniu może być doniosłym czynnikiem uspołecznienia, budującym postawę w stosunku do dobra społecznego. W okresie okupacji pełnemu wyzyskaniu tego wpływu przeciwdziałała sytuacja walki z okupantem, który zagarnął całą własność publiczną. W opinii publicznej niszczenie tego dobra publicznego, a nawet zwykła kradzież, była usprawiedliwiona intencją szkodenia okupantowi.

Jedną z najtrudniejszych rzeczy było osiągnięcie trwałych rezultatów w praktycznym uspołecznieniu postępowania. Konkretnie sytuacje z tego zakresu wypełniają życie każdej szkoły i każdej klasy. Wystarczy sobie uprzytomnić sytuacje wymagające od dziecka decyzji w sprawie użyczenia koledze książki lub przyborów szkolnych, udzielenie pomocy koledze w jakiejś czynności, zdobycie się na wysiłek, na trud dla dobra innych, lub dla wspólnych potrzeb. Trudność wychowawcza wynika tu stąd, że mamy tu do czynienia

z postawami i nawykami ugruntowanymi w wychowaniu rodzinnym i że często sugestie i przykłady ze środowiska rodzinnego przeciwdziałają choćby bezwiednie usiłowaniom wychowawców.(...)

Rok szkolny 1944/1945 zaczęliśmy w tajnych kompletach, a skończyliśmy w zalegalizowanej przez polskie władze szkole powszechnej.(...)

Helena i Władysław Radwanowie, Ewa Krauze, Maria Grzegorzewska, Leona i Józef Zawadzcy – aż trudno uwierzyć, że tyle wybitnych osób znalazło się w jednym miejscu, w obrębie dwóch sąsiadujących posesji w czasie, kiedy tworzyło się szkolnictwo na terenie Zalesia Dolnego.

Będąc kiedyś uczennicą szkoły z taką historią, a teraz długo nauczycielką (w gronie pedagogicznym jest kilka absolwentek szkoły), na pewno czerpię z jej historii i osobowości Patronki. Ewa Krauze przyjmowała mnie do szkoły, była moją kierowniczką, później dyrektorką. Jej podpis widnieje na moim świadectwie z klasy ósmej. Oczywiście inaczej patrzę na niektóre sprawy niż kiedyś niebieskimi oczami dziesięcio-



Krauzówka dzisiaj

piętnastolatki. Wyzwania, przed którymi stawali nasi nauczycieli w czasie wojny, są niewspółmierne do tych, z którymi zмага się nauczyciel dzisiaj. Ale niektóre problemy są wspólne: jak wychować dziecko do życia, przed którym stanie jako dorosły człowiek, jak sprawić, żeby jego marzenia się spełniły, jak wychowywać w poszanowaniu wartości: punktualności, uczciwości, pomocy słabszym, poszanowaniu historii, dbaniu o środowisko?

Czy dziś wychowujemy inaczej? Na sposób zachowania człowieka wpływa wiele czynników, ale nadal szkoła, nauczyciele wiele mogą w tym zakresie osiągnąć. W tegorocznym programie wychowawczo-profilaktycznym naszej szkoły – dziś Szkoły Podstawowej nr 2 im. Ewy Krauze, zwanej potocznie Krauzówką – można przeczytać, że: *wartościami nadrzędnymi, przyjętymi w naszej szkole, są szacunek do drugiego człowieka, odpowiedzialność za siebie i innych oraz tworzenie wspólnoty uczniów, nauczycieli i rodziców, wynikającej ze współpracy i wzajemnego zaufania*. Brzmi znajomo? Podobnych słów użył Władysław Radwan w latach czterdziestych, pisząc historię prywatnych tajnych kompletów. Wszystkie hasła z nauczycielskich programów i planów próbujemy przekładać na szkolną codzienność.

W klasach młodszych dużo osiągamy, modelując sytuacje wychowawcze. Kiedy nauczyciel, przechodząc ze swoją klasą obok pana dozorczy czy sprzątającej pani woźnej powie *Dzień dobry*, sznureczek uczniów idący za nauczycielem to powtórzy. Jeśli nauczyciel, mówiąc po lekcji, że mamy bałagan w sali i nie możemy dokładać pani sprzątacze dodatkowej pracy, schyli się po jakiś papierek, większość uczniów z ochotą zabierze się do sprzątnięcia. Dbając o zieleń w sali lekcyjnej, sadząc kwiaty wokół szkoły, uczymy dbałości o środowisko i swoje najbliższe otoczenie. W starszych klasach dużo rozmawiamy z uczniami. Lekcja, na której pokazuję fotografie osób różnie ubranych i pytam, czy osoba w takim

stroju jest wiarygodna w sytuacji służbowej, zwykle prowadzi do ożywionej dyskusji uczniów i racjonalnych wniosków. W stołówce uczniowie poznają zasady poprawnego zachowania przy stole, kulturalnego spożywania posiłków, wprawnego posługiwania się sztucami, często od swoich kolegów. Kiedyś czytaliśmy książki o zasadach kulturalnego zachowania, dziś można znaleźć w internecie krótkie filmy, które przybliżają uczniom wzory postępowania. Gdy uczeń proponuje pomoc w niesieniu niewielkiej rzeczy czy robieniu gazetki, korzystamy z niej, dajemy mu przestrzeń do tego, aby czuł się



Kolejne roczniki chodzą oglądać dom, w którym zaczęła się ich szkoła

potrzebny, sami też uczymy się przyjmować pomoc. Kiedy jesteśmy dla własnych dzieci lub uczniów kimś ważnym, wtedy – identyfikując się z nami i próbując nas naśladować – szybciej nabywają pożądanych zachowań. Przestrzeganie zasad dobrego wychowania jest równoznaczne z okazywaniem szacunku innym, braniem pod uwagę ich potrzeb i uczuć, ale też szanowaniem cudzej pracy. Tego uczyli nasi poprzednicy i my też uczymy i zachęcamy naszych uczniów, by z możliwych sposobów zachowania wybierali ten, w którym zagra uśmiech i życzliwość, bo nie wszystkie zasady *savoir-vivre* znamy i będziemy znać.

Monika Moryń

KSIĄŻKI O SZKOLE



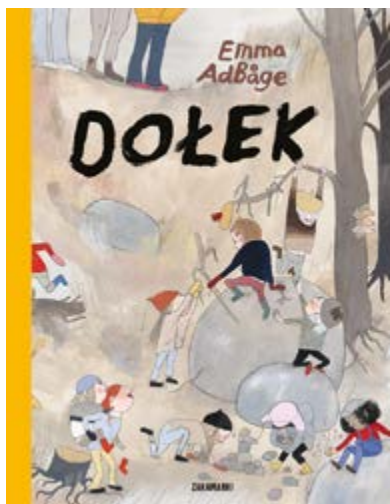
W literaturze dla dzieci – jak w życiu! – temat edukacji pojawia się w różnych kontekstach. Czasem szkoła stanowi tylko tło dla wydarzeń, innym razem – autorzy skupiają się na relacjach na liniach uczeń-uczeń i uczeń-nauczyciel, jeszcze innym – książki obrazują tendencje negujące szkołę jako instytucję lub co najmniej podważające jej fundamenty. Zaczniemy jednak od pochwał!

Książka *Kto wymyślił szkołę?* to podróż przez historię edukacji. Aleksandra Szkoda prowadzi czytelnika przez wieki, pokazując, że potrzeba uczenia się była istotna już w czasach neandertalczyków. Autorka rozpoczyna swoją opowieść od pradawnych czasów, kiedy nauka była nieodzowna do przetrwania. Starsi przekazywali młodszym, jak upolować zwierzynę i uniknąć niebezpieczeństw. W czasach przed wynalezieniem druku nauka opierała się na metodzie pamięciowej, kiedy to wszelka wiedza musiała zmieścić się w głowie. Książka przenosi nas także w różne zakątki świata, gdzie odkrywamy, że szkoła nie wszędzie wygląda tak samo. Dowiadujemy się, z jakimi wyzwaniem borykają się dzieci na różnych kontynentach. To doskonała okazja, by pokazać młodym czytelnikom –

znudzonym polskim uczniom – że edukacja nie jest wszędzie dostępna, a wiele dzieci nie ma szansy na naukę ze względu na trwające konflikty zbrojne (od razu polecam także książkę znaną w wielu szkołach, podejmującą ten problem: *Która to Malala?* Renaty Piątkowskiej). Zaskoczeniem dla dzieci może być informacja, że nie wszędzie nauka jest dostępna w równym stopniu, a czasem wręcz stanowi luksus, na który nie można sobie pozwolić. Dla niektórych intrygujący może okazać się fakt, że są miejsca na tym świecie, gdzie dziewczynki i chłopcy uczą się osobno. Okaże się też, że nie wszystkie dzieci chodzą do szkoły, co z kolei rodzi pytanie: co robią, jeśli nie uczą się w systemie? *Kto wymyślił szkołę?* podnosi więc ważny temat analfabetyzmu, pokazując, że nie wszyscy mają dostęp do nauki, a także uświadamia, że uczenie się to proces, który towarzyszy nam przez całe życie. Bezcenna lekcja wynikająca z tej



lektury brzmi: edukacja to nie tylko wypełnianie zeszytu ćwiczeń, ale klucz do zrozumienia naszej historii i różnic kulturowych. Książka na dodatek ma wartość nie tylko edukacyjną, ale także społeczną – uczy dzieci wartości solidarności i pomagania innym, ponieważ cały dochód ze sprzedaży jest przeznaczony na wsparcie programu edukacji globalnej PAH. To zatem nie tylko lekcja historii, ale także ważna lekcja życia i empatii.



Okazuje się, że nie tylko w Polsce szkoła jest poddawana negatywnym ocenom. Krytyczne spostrzeżenia na jej temat możemy wyczytać z książeczki *Dołek* Emmy Adbåge. Pierwsze zdanie brzmi: *Przy szkole, zaraz za salą gimnastyczną, jest dół.* To miejsce według dzieci wydaje się stworzone do niekończącej się zabawy, a składa się nań pełno ściętych drzew, patyków, gałęzi,

kamieni i piachu. Na pierwszy rzut oka brzmi to jak raj dla dzieci i tak właśnie jest. W dołku każde dziecko może znaleźć coś dla siebie – kopią w ziemi, sprawdzają, jak głęboko można sięgnąć, rywalizują w skokach czy turlają się w piasku, robią tor przeszkód... Zabawa jest pyszna! Jednak dorośli widzą to miejsce zupełnie inaczej! Opiekunowie obserwują z niepokojem, co robią ich podopieczni, ponieważ są przekonani, że zabawa w dołku jest niebezpieczna, a tragedia czeka tuż za rogiem. I faktycznie, pewnego dnia rzeczywiście dochodzi do nieszczęścia, ale – co zaskakujące – nie w dołku. Dziewczynka spada ze schodów szkoły i obficie krwawi z nosa (ach, te sugestywne ilustracje!). Pojawiają się zakazy, a ponieważ dzieci potrafią obejść i te, dorośli postanawiają zakopać to magiczne miejsce, przekonani, że rozwiążą problem. To, co dzieje się potem, jest zaskakujące i pełne dziecięcej spontaniczności. Pokazuje, że siła wyobraźni dzieci jest niezwykła. Autorka tej opowieści, Emma Adbåge, nie neguje szkoły i edukacji, obnaża jednak jej słabości i bolączki, przede wszystkim krępowanie swobody zabawy, straszenie dzieci, używanie argumentów bez pokrycia czy w końcu zastanianie się zakazami

i nakazami, które niszczą w dzieciach naturalną chęć poznania świata i wyrażania siebie.

Często mówimy, że szkoła nie uczy nas życia, a jedynie zaśmieca nasze głowy niepotrzebnymi – zwłaszcza w dobie internetu – informacjami. Tym młodym ludziom, którzy czują podobnie, a także stwierdzają, że szkoła ich totalnie wypaliła, polecam już dwie części serii *Szkoła bohaterów i bohaterów, czyli jak radzić sobie z życiem* Przemka Staronia, nauczyciela roku 2018. Autor podejmuje tematy dotyczące odmienności, kompleksów związanych z wyglądem, niesprawiedliwym traktowaniem introwertyków, rozterek miłosnych, lęku, potrzeby bycia autentycznym, dążeniem do sukcesu – aż ciśnie się pod klawiaturę: konsekwencji edukacji systemowej. Staroń zręcznie wykorzystuje przykłady ulubionych postaci, takich jak Alicja z *Alicji w Krainie Czarów*, Pippi, bohaterowie z *Władcy Pierścieni*, Harry Potter, Neo z *Matriksa*, Enola Holmes czy postaci z *Fantastycznych zwierząt*. Pomaga współczesnym nastolatkom odnaleźć i zrozumieć siebie, a także zachęcić ich do otwartości na drugiego człowieka. Czytelnicy zostaną zachęceni do ćwiczenia asertywności, umiejętności niezbędnej w dzisiejszym świecie, by efektywnie komunikować swoje potrzeby i granice. Przemek Staroń udowadnia, że życie nie polega wyłącznie na adaptacji do otaczającej nas rzeczywistości, ale również na kreowaniu jej według własnych zasad. Jedne z cenniejszych fragmentów tej książki to osobiste historie z życia autora i jego uczniów. To realne przykłady i doświadczenia, które pozwalają czytelnikom lepiej zrozumieć prezentowane treści i łatwiej się w nich odnaleźć.

Platon i Arystoteles twierdzili, że początkiem filozofii jest zdziwienie, ale myślę, że możemy rozszerzyć to zdanie i powiedzieć, że zdziwienie jest też początkiem edukacji. To, co skostniałe w polskich szkołach, wymaga ponownego namysłu i refleksji. Mimo że zmiany w systemie edukacji są trudne i wymagają czasu, nie można zapominać, że szkoła jednak odgrywa kluczową rolę w kształtowaniu przyszłych pokoleń i nie możemy jej tak po prostu przekreślić. Dlatego warto podjąć wysiłek, aby dostosować ją do potrzeb dzisiejszych uczniów. Ferment, także książkowy, wokół tego tematu może prowadzić do rozwoju innowacyjnych rozwiązań i stworzenia systemu edukacji, który będzie lepiej służyć młodym ludziom i przygotuje ich do wyzwań przyszłości.



Agnieszka Wojdyna

GRY EDUKACYJNE DLA MAŁYCH I DUŻYCH

Pierwsze miesiące roku szkolnego skłaniają do przyjrzenia się grom planszowym, które mają charakter dydaktyczny. Niektórzy ich poszukują, upatrując w nich dobre narzędzie do wspomagania rozwoju swoich dzieci. Inni z kolei unikają ich jak ognia, gdyż kojarzą im się z nudną rozgrywką, wymagającą określonej wiedzy. Spróbuję wskazać kilka pozycji, które mogą być warte uwagi dla jednych i drugich.

Przede wszystkim należy wskazać, że gry edukacyjne mają szczególne przeznaczenie. Projektowane są

po to, żeby rozwijać określone umiejętności lub poszerzać wiedzę. I choć wszystkie gry planszowe mają w sobie elementy pozytywnie wpływające na rozwój przeróżnych kompetencji, w grach edukacyjnych trening określonych umiejętności czy zdobywanie wiedzy w danej dziedzinie jest wartością nadrzędną. Znajdziemy więc gry, które uczą języków obcych czy matematyki, poszerzają wiedzę w różnych dziedzinach, a także usprawniają umiejętności językowe czy myślenie logiczne. Wydaje się, że jest to czynnik, który sprawia, że mechanika gry spada na dalszy plan, a ważniejsze okazują się: wartość dydaktyczna, szata graficzna czy wykonanie. W związku z tym wiele z nich wciąż opiera się na rzucie kostką i przesuwaniu pionków, co generuje sporą dawkę losowości. Wystarczy dodać do tego pytania w danej dziedzinie i powstaje najprostsza edukacyjna gra planszowa. Spróbuję jednak wybrać ciekawsze przykłady, o nie mniejszym potencjale edukacyjnym.

Zdecydowanie warto wyróżnić wydawnictwo Edgard Games, które oferuje szeroką gamę gier edukacyjnych. Przede wszystkim uwagę przyciąga seria *Kapitan Nauka* (połączona z książkami), której treści zostały opracowane przez pedagogów, psychologów i terapeutów. Znajdziemy w niej gry dostosowane do wieku i możliwości dzieci, od prostych układanek dla maluchów po bardziej skomplikowane dla uczniów. Jedne będą rozwijać umiejętności językowe (*Sylaba do sylaby*, *Sylabuję i główkuję*, *Ortografia bezbłędnie*), inne matematyczne (*Potwory głodomory*, *Żaby czy kraby?*, *Kumaci piraci*, *Licz dobrze, dobrze!*). Są takie, które uczą posługiwać się zegarem (*Gra w zegar*) i takie, które rozwijają wiedzę przyrodniczą i myślenie logiczne (*Logika*).

Trzeba też pamiętać, że wydawnictwo Edgard specjalizuje się w publikowaniu materiałów edukacyjnych do nauki języków obcych. Znajdziemy więc tu także dobrze opracowane gry do nauki języka angielskiego dla młodszych (np. *Bójka na słówka*) oraz nieco starszych i bardziej zaawansowanych (*Let's talk. Projekt miasto* czy *What's up? Angielski quiz konwersacyjny*).

Szczególną uwagę chcę jednak zwrócić na gry oparte na idei STEM (akronim od angielskich słów: *Science, Technology, Engineering, Mathematics*),

czyli nowoczesnym modelu edukacji łączącym zagadnienia z nauk ścisłych, technologii, inżynierii i matematyki. W przystępny sposób wprowadzają one dzieci w świat algorytmów, uczą podstaw kodowania i programowania. *Zakodowany zamek* (4+) i *Zakodowana wieża* (5+) to gry kooperacyjne, przy których cała rodzina będzie się dobrze bawić. Zadaniem graczy jest układanie takich sekwencji kart, które pozwolą czarodziejowi zdobyć skarby i jednocześnie unikać spotkań z duchami. Wyznaczanie optymalnej trasy i przechytrzenie duchów poprzez kodowanie ruchów czarodzieja to nie lada wyzwanie dla małych i dużych.



Zakodowany kosmos jest nieco bardziej skomplikowaną odsłoną gry opartej na kodowaniu, przeznaczoną dla graczy od 8. roku życia. Wcielą się oni w rolę pilotów, którzy chcą dotrzeć do kosmicznych baz swoich przeciwników. Nawigatorzy statków kosmicznych muszą wykazać się sprytem. Będą tworzyć trasę lotu, omijać kosmiczne przeszkody, korzystać z czarnych dziur, blokować pozostałych graczy i wykorzystywać ułożone przez nich trasy. Ten, kto pierwszy zdobędzie pozostałe bazy, wygra rozgrywkę.



Ciekawa szata graficzna gier i niebanalne wyzwania sprawiają, że pod płaszczykiem dobrej zabawy dzieci ćwiczą planowanie oraz myślenie logiczne i strategiczne, koncentrują się na zadaniu i uczą rozwiązywać problemy, a przede wszystkim stawiają pierwsze kroki w kodowaniu i programowaniu. Jestem przekonana, że także dorośli znajdą satysfakcję we wspólnych rozgrywkach – chętnie będą analizować sytuację i tworzyć optymalne algorytmy.

Gry edukacyjne nie są kierowane jedynie do dzieci. Propozycje dla dorosłych przybierają zwykle formę quizów sprawdzających wiedzę. Z tej racji wielu

dorosłych nigdy nie będzie w nie grało, np. obawiając się kompromitacji. Niektóre mają jednak naprawdę ciekawą formułę. Godną uwagi pozycją jest między innymi gra *Terra* (10+, wyd. Egmont). Ogromna mapa

świata, suwaki z liczbami i setki pytań, które przeniosą graczy w odległe zakątki globu. Zadaniem zawodników jest typowanie odpowiedzi w trzech kategoriach – należy zaznaczyć prawidłowy obszar na mapie oraz odpowiednie zakresy na skalach liczbowych (skala lat, długości/dystansu i liczb). Gdzie znajduje się największy aktywny gejzer i jaki był jego maksymalny wyrzut? Jaką długość ma most Golden Gate? Albo: Gdzie urodził się Freddy Mercury? Pytania mają różny poziom trudności, a punkty zdobywa nie tylko gracz, który odpowie prawidłowo, ale także ten, którego odpowiedź sąsiaduje z tą poprawną. Można więc sugerować się odpowiedziami innych, a przede wszystkim – zdobyć punkty za dobrą intuicję. Najważniejsze, że nie jest wymagana precyzyjna odpowiedź, a jedynie

właściwy obszar lub zakres. Bez wątpienia jest to pozycja, która przyniesie dużo radości i będzie początkiem wielu interakcji, dyskusji i opowieści. Docenić trzeba także różnorodność pytań. Zawsze należy zaznaczyć prawidłowy obszar na mapie, jednak skale liczbowe dają naprawdę nieograniczone możliwości. Poza zaznaczeniem lat i dystansu zadanie może wymagać wskazania m.in. prędkości, wagi, temperatury, czasu czy powierzchni. *Terra* zdecydowanie potrafi rozbudzić ciekawość i dostarczyć zabawy na wiele zimowych wieczorów, a może i zachęcić do dalekich podróży.

Niewątpliwie gry edukacyjne stanowią dobre wsparcie dla rodziców i nauczycieli. Warto wykorzystywać je w procesie nauki, tej formalnej i nieformalnej.



Beata Kozyra

SZKOŁA ŻYCIA W FILMIE

Akademia Pana Kleksa, reż. Krzysztof Gradowski, Polska, ZSRR 1983, czas: 158', muzyczny film familijny

Adaptacja książki Jana Brzechwy. Główny bohater, Adaś Niezgódka, trafia do niezwykle szkoły, w której nauczają Pan Kleks. Chłopiec wraz ze szkolnymi kolegami podczas niestandardowej edukacji odwiedza krainę bajek. Swoje osobliwe przygody opisuje w pamiętniku. Film opowiada o tym, że czas spędzony w szkole może być również życiową przygodą.

I jeszcze niespodzianka dla młodego widza! Na początku 2024 roku ma trafić do kin nowa ekranizacja tej powieści w reżyserii Macieja Kawulskiego. Ciekawe, jak w XXI wieku zostanie ukazana szkoła profesora Kleksa.

Dekalog, reż. Krzysztof Kieślowski, Polska 1988, czas każdej części: 55', telewizyjny film fabularny (cykl)

Cykl dziesięciu filmów jest osobistą interpretacją dziesięciu boskich przykazań. Reżyser fabułę filmów oparł na scenariuszach Krzysztofa Piesiewicza. Wszystkie historie zostały osadzone w polskiej rzeczywistości lat osiemdziesiątych. Cykl może być doskonałym punktem wyjścia do refleksji na temat sensu życia oraz dyskusji z młodzieżą w szkole i w domu. Poszczególne tytuły prowokują do przemyśleń, mogą stać się prawdziwą szkołą trudnej codzienności, jaką niesie ludzkie życie.

Figurant, reż. Robert Gliński, Polska 2023, czas: 113', film fabularny

Film o młodym człowieku, który dobrowolnie przez dwadzieścia lat zajmuje się inwigilacją Karola Wojtyły. Obraz zrealizowany w konwencji czarno-białej; w fikcyjną historię wplecione zostały archiwalne zdjęcia z przełomu lat 50. i 60. Film doskonale wprowadza widza w środowisko duszpasterskie studentów Krakowa oraz służb bezpieczeństwa, ukazując trudną i skomplikowaną rzeczywistość. Obraz może być znakomitym materiałem do oceny życia w tamtym czasie i pokazania, jak łatwo zboczyć z drogi prawdy.

Kamienie na szaniec, reż. Robert Gliński, Polska 2014, czas: 107', film fabularny

Historia przyjaźni trzech chłopców podczas niemieckiej okupacji w czasie drugiej wojny światowej. Bohaterowie są uczniami zawieszonego na czas wojny warszawskiego Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Batorego. Chłopcy, oprócz utrudnionej edukacji na tajnych kompletach, realizują osobistą szkołę życia. Codziennie dokonują niełatwych wyborów, by lata ich młodości nie były pozbawione sensu. Film o przyspieszonym dojrzewaniu i kształtowaniu charakterów.

Korczak, reż. Andrzej Wajda, Polska 1990, czas: 115', film fabularny

Obraz pokazuje postać lekarza i pedagoga, Janusza Korczaka, który jest wzorem dla podopiecznych z sierocińca w warszawskim getcie. Mimo biedy i dramatycznej wojennej rzeczywistości walczy o godne życie dla swoich sierot. Wraz ze znakomitą kadrą

nauczycieli uczy, wychowuje i opiekuje się nimi, będąc z nimi do końca i towarzysząc im w marszu przez getto i w drodze do obozu zagłady.

Ośmiornica, nauczycielka życia (*My Octopus Teacher*), reż. Pippa Ehrlich, James Reed, RPA 2020, czas: 88', film dokumentalny

Tym razem nauczycielką życia staje się ośmiornica. Wtajemnicza bohatera w zasady życia w podwodnym, morskim świecie. Mężczyzna nawiązuje z ośmiornicą niezwykłą więź, która pomaga mu w walce z depresją. Film pokazuje, jak kontakt z naturą może pozytywnie wpłynąć na emocje człowieka, który jest zagubiony w swojej ziemskiej rzeczywistości.

Marry Poppins powraca (*Mary Poppins Returns*), reż. Rob Marshall, USA, Wielka Brytania 2018, czas: 130', film familijny

Ekranizacja powieści Pamelii L. Travers. W rolę tytułowej bohaterki wciela się Emily Blunt. Opiekunka, Mary Poppins, wprowadza dzieci państwa Banksów w świat fantazji i radości. Niania robi wszystko, by z czarować codzienność osamotnionych Janeczki i Michała, których zapracowani rodzice nie mają dla nich czasu. Jej osobowość sprawia, że każde wydarzenie może być ciekawe.

Paddington, reż. Paul King, Francja, Wielka Brytania 2014, czas: 95', film familijny

Historia peruwiańskiego miśka (opisana przez angielskiego pisarza Michaela Bonda), który w wyniku niefortunnnych zdarzeń zagubił się w londyńskim metrze na stacji Paddington. Zaopiekowali się nim państwo Brown, którzy nadali mu imię od nazwy stacji. Obecność pełnego uroku misia przewróciła do góry nogami codzienność domowników i spowodowała, że ich życie rodzinne się zmieniło. Pluszak na zawsze został w sercach państwa Brown i londyńczyków. Jego pomnik znajduje

się na stacji metra Paddington – tutaj dzieci przynoszą mu jego ukochany słoik marmolady i listy... Zrealizowano także drugą część filmu pod tytułem *Paddington 2*.

Pływaczki (*The Swimmers*), reż. Sally El Hosaini, Wielka Brytania, USA 2022, czas: 134', film fabularny

Piękna historia życia dwóch syryjskich sióstr, Yusry i Sarah – pływaczek, które z plecakiem opuszczają swój kraj. Na emigracji chcą kontynuować sportową karierę. Młodsza siostra marzy o wystąpieniu podczas Igrzysk Olimpijskich w zawodach pływackich w barwach Syrii. W nowej emigracyjnej rzeczywistości nastolatki przeżywają prawdziwą szkołę życia. W obliczu wszelkich przeciwności nie poddają się i pragną realizować swoje sportowe marzenia.

Szyfrowe prace, reż. Paweł Komorowski, Polska 1998, czas: 99', film fabularny (także serial)

Ekranizacja powieści Stefana Żeromskiego. Powstały dwie wersje filmowe, obie adaptacje – kinowa i serialowa – dość wiernie ukazują wątki literackiego pierwowzoru. Pokazują proces rusyfikacji w polskiej szkole w drugiej połowie XIX wieku. Główny bohater, Marcin Borowicz, wraz ze swoimi szkolnymi kolegami doświadcza represji carskich, przeżywanych z perspektywy rzeczywistości gimnazjalnej. Chłopcy walczą o polską tożsamość, okupując swoje decyzje konsekwencjami.





Zamek Lubelski – Muzeum Narodowe w Lublinie

Szczęśliwym trafem odwiedziliśmy Lublin w czasie, kiedy w Zamku prezentowano jednocześnie dwie wystawy czasowe – niewielką, choć bardzo głośną prac Tamary Łempickiej i dużo większą – Andrzeja Wróblewskiego. Samo Muzeum ma od dawna bardzo bogatą ofertę wystaw czasowych i zawsze warto sprawdzić, co się w nim aktualnie dzieje.

Dzieci już podczas poprzednich wyjazdów były zainteresowane Kaplicą Trójcy Świętej – młodsze mogą liczyć anioły albo szukać koni, starsze niech spróbują rozszyfrować niektóre sceny (co, bez przewodnika, i dla dorosłych bywa dużym wyzwaniem). Zawsze, zwiedzając jakieś miasto, można podeprzeć się lokalnymi legendami, dlatego na Zamku warto zobaczyć też stół z odciskiem diabelskiej łapy (i przy okazji porozmawiać o tym, czym jest sprawiedliwy sąd oraz niesłuszne oskarżenie). Tu jedna uwaga na boku: kto pozwoli, żeby jego osobiste dzieci zaczęły przytaczać przykłady, kiedy to zostały w nieodległej przeszłości niesprawiedliwie potraktowane przez to, że młodszy brat jako pierwszy dostał baton, tego już nic nie uratuje!

Anna Niemira-Jurek

ZMĘCZENI, A WIĘC SZCZĘŚLIWI, CZYLI LUBLIN NA WEEKEND

Któż z nas nie marzy, żeby po weekendowym wypadzie usłyszeć od własnych dzieci jednocześnie wyrazy zadowolenia i deklarację przeogromnego zmęczenia, które pozwala już tylko ostatkiem sił zdjąć ubranie, umyć (lub – częściej niestety – nie umyć) zęby i zapaść w wyczekiwany sen? Choć jest prawdą, że nie zawsze się to udaje, to zapraszam Państwa na wypad do Lublina, który niedawno nas nagrodił w taki właśnie sposób.



Muzeum Wsi Lubelskiej

Zanim przekroczycie Państwo bramy Muzeum Wsi Lubelskiej, zachęcam do sprawdzenia, czy w sezonie, kiedy odwiedzacie Lublin, dostępne są przejażdżki wozem drabiniastym. Przyjemność ta jest wliczona w cenę biletu, trwa co prawda zaledwie kilka minut, ale przynosi naprawdę niezapomniane wrażenia. Wszystko jest tu prawdziwie – chaty, ścieżki, sprzęty domowe i rolnicze, zwierzęta, rośliny, wóz, koń i woźnica (czy w ogóle dzieci znają to słowo? Spytajcie, nasze nie znają).

Teren skansenu jest naprawdę rozległy – obejmuje odtworzone wsie, chaty położone nad wodą, młyn, małe miasteczko z kościołem. Jeśli pogoda dopisze, można tu spędzić nawet dwie, trzy, cztery godziny. Dlatego lepiej zaopatrzyć się we własną wodę i przekąski.

Muzeum to daje natychmiastowy efekt zadowolenia (można dużo chodzić, wspinać się i zbiegać, zaglądać w różne kąty) oraz potwornego zmęczenia (po trzech godzinach chodzenia, wspinania się, biegania i zaglądania). Na mnie największe wrażenie zrobiły jednak kwitnące przy chatach malwy, które dobrze pamiętam z dzieciństwa. Dziś już się ich prawie nie widuje, a tu rzeczywiście sprawiały wrażenie cofania się w czasie.



Lubelska Trasa Podziemna

W piwnicach Trybunału Koronnego mieści się podziemna trasa, składająca się z około trzystu metrów korytarzy. Zwiedzanie połączone jest z oprowadzaniem (odpowiednim raczej dla dzieci powyżej 5–6 lat, choć dostępnym od 4. roku życia). Spacer pod ziemią to, poza innymi zaletami, świetna okazja, żeby spojrzeć na miasto jak na palimpsest, a na jego kształt jak na wynik narastania, nastawiania po sobie kolejnych wydarzeń i epok. W Lubelskiej Trasie Podziemnej udało się chyba osiągnąć taki efekt – sprzyjają mu nie tylko makiety miasta pokazujące jego rozwój (od małej osady po duży ośrodek), ale także opowieść o jego pożarze.

Inne atrakcje

Choć staramy się bywać w Lublinie co roku i hołdować zasadzie, zgodnie z którą udany wyjazd to harmonijne połączenie zadowolenia i zmęczenia, nadal nie odwiedziliśmy wszystkich ciekawych miejsc polecanych dzieciom. Może Państwu uda się zobaczyć Dom Koziołka Lubelskiego, Rezerwat Dzikich Dzieci (sama nazwa brzmi zachęcająco!) czy Dom Słów. Wiele jeszcze weekendów przed nami!



AUTORZY O SOBIE:

Jacek Banaś – nauczyciel, etyk, zastępca dyrektora Departamentu Kształcenia Ogólnego i Podstaw Programowych MEiN, ojciec czworga dzieci.

Bogna Białecka – psycholog, prezes Fundacji Edukacji Zdrowotnej i Psychoterapii, autorka książek i poradników, redaktor portalu dla młodzieży www.pytam.edu.pl i portalu dla rodziców www.rodzice.co.

Sylwia Bliźniewska – absolwentka resocjalizacji oraz opieki i terapii pedagogicznej. Miłośniczka wszystkich gatunków zwierząt, w szczególności jamników, opiekunka szalonego psiokocięgo stada. Interesuje się psychologią, zwłaszcza zwierzęcą, i dogoterapią. Chętnie czyta thrillery psychologiczne.

Anna Cegieła – językoznawca, kieruje Zakładem Edytorstwa i Stylistyki oraz Obserwatorium Etyki Słowa w Instytucie Polonistyki Stosowanej. Przedmiotem jej szczególnego zainteresowania są zmiany w rozumieniu wartości oraz język debaty i sporów publicznych. Działa w Zespole Etyki Słowa Rady Języka Polskiego.

Monika Dembińska – absolwentka Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Przez trzydzieści lat w polskiej edukacji przetrwała kilka reform i liczne systemowe trzęsienia, aby „skończyć” jako nauczycielka i tutorka w LXIV Liceum Ogólnokształcącym im. St. I. Witkiewicza „Witkacego”. Obecnie na zlecenie Mazowieckiego Kuratora Oświaty koordynuje działania związane z przeprowadzaniem konkursów przedmiotowych na terenie Mazowsza.

Anna Faszczowa – koordynator redakcji portalu tato.net, doktor dogmatyki, absolwentka KUL. Chór-mistrz. Edukator domowy. Publikuje w pismach poświęconych formacji. Żona Wiesława, mama dwóch synów i córek.

Aleksandra Gil – certyfikowany trener profilaktyki zdrowia psychicznego. Prowadzi szkolenia dla młodzieży i dorosłych w zakresie budowania osobowości lidera, efektywnej nauki, prewencji zachowań ryzykownych. Redaktor portalu dla młodzieży PYTAM.EDU.PL. Tylko prawda jest ciekawa oraz portalu dla rodziców RODZICE.CO

Bernadeta Grabowska – absolwentka WSKSiM w Toruniu oraz PWSFTviT w Łodzi, z powołania żona, matka i dziennikarka. Szczerze zakochana w polskim malarstwie. Przepadła za herbatą jaśminową, lubi piec słodkie smakołyki dla całej rodziny.

Barbara Ignaczak – nauczycielka edukacji wczesnoszkolnej, plastyki i języka polskiego, mama trzech synów i babcia pięciorga wnucząt.



Beata Kozyra – nauczyciel edukacji wczesnoszkolnej, polonistka, konsultant metodyczny, edukacyjny, autorka scenariuszy do lekcji filmowych i podręczników.

Karolina Małecka-Wojtasiak – nauczyciel języka polskiego, lubi pisać i wystawiać spektakle na szkolnej scenie, od niedawna interesuje się fotografią.

Monika Moryń – polonistka, fotograf, mama dla pięciorga dzieci Tu i pięciorga dzieci w Niebie, autorka bloga Czytanki-przytulanki.

Małgorzata Nawrocka – pedagog, dziennikarka oraz autorka kilkudziesięciu książek, scenariuszy teatralnych i szkolnych podręczników.

Anna Niemira-Jurek – redaktorka materiałów branżowych i edukacyjnych, a także scenariuszy gier. Mama czworga dzieci.

Joanna Olędzka – pedagog, nauczyciel edukacji wczesnoszkolnej i wychowania przedszkolnego oraz wychowania do życia w rodzinie. Organizatorka licznych warsztatów dla dzieci i młodzieży. Wraz z mężem prowadzi kursy dla narzeczonych Radość i Nadzieja. Wielokrotny gość/ekspert programów telewizyjnych TVP ABC *Moda na rodzinę* i radiowych Radia Warszawa *Wychowywać, ale jak*. Miłośniczka tańca, śpiewu, muzyki. Żona cudownego Piotra, mama wspianej czwórki dzieci.

Patrycja Przybysławska – polonistka, redaktorka, mama trojga dzieci.

Agnieszka Wojdyna – logopeda, nauczycielka języka polskiego, znawczyni i kolekcjonerka gier planszowych.

Katarzyna Wozinska – psycholog, dyrektor ośrodka Centrum Słowo – Psychologia z duszą, żona i mama pięciorga dzieci.

Anna Zalewska – publicystka, redaktor kwartalnika „Cywilizacja” i dwumiesięcznika „Służyć prawdzie”, koordynator działalności edukacyjnej i wydawniczej Fundacji Servire Veritati Instytut Edukacji Narodowej, mama dwóch synów.

Wydawca: Ośrodek Rozwoju Edukacji

Redakcja: Radosław Brzózka, Bogna Białecka, Artur Górecki, Izabela Jurek,
Patrycja Przybysławska, Karolina Strugińska, Anna Zalewska

Wsparcie techniczne: Marzena Odzimek-Jarosińska

Skład: Drukarnia R2 Print, Płock

Druk: Drukarnia R2 Print, Płock

Adres redakcji: www.wychowujmy.pl

ISSN: 2720-2003

Zdjęcia wykorzystane w numerze pochodzą:

- a) ze źródeł internetowych: © barbarusha/Photogenica (I okładka), © DGLimages/Photogenica (s. 3), © interactimages/Photogenica (s. 5, 48, 57), © michaeljung/Photogenica (s. 6), © photographie.eu/Photogenica (s. 7), © .shock /Photogenica (s. 10), © Alexander_Safonov/Photogenica (s. 11, 22), © kittyfly/Photogenica (s. 12), © NewAfrica/Photogenica (s. 13, 37), © robuart/Photogenica (s. 14), © Dmyrto_Z/Photogenica (s. 16), © esthermm/Photogenica (s. 18), © SimpleFoto/Photogenica (s. 19), © matimix/Photogenica (s. 20), © IgorVetushko/Photogenica (s. 21, 52), © Chinga/Photogenica (s. 25), © EdZbarzhyvetsky/Photogenica (s. 26), © Wadym/Photogenica (s. 27), © HayDmitriy/Photogenica (s. 28, 42, 67), © Highway-Starz/Photogenica (s. 29), © luminastock/Photogenica (s. 30), © shutter2u/Photogenica (s. 32), © galitskaya/Photogenica (s. 34), olga1818/Photogenica (s. 36), © gpointstudio/Photogenica (s. 38), © lotosfoto1/Photogenica (s. 39), © Vejaa/Photogenica (s. 40), © VitalikRadko/Photogenica (s. 41), © DGLimages/Photogenica (s. 43), © Aleutie/Photogenica (s. 45), © LUNNO NAGAR/Photogenica (s. 46), © Foxpictures/Photogenica (s. 47), © AlexLipa/Photogenica (s. 54), © Slphotography/Photogenica (s. 55, 56), © vadimphoto1/Photogenica (s. 57), © AllaSerebrina/Photogenica (s. 65), © stockyimages/Photogenica (s. 69), © ArturVerkhovetskiy/Photogenica (s. 70), © katatonia82/Photogenica (s. 71), © baser/Photogenica (s. 73), © eightonesix/Freepik (IV okładka);
- b) ze zbiorów: Aleksandry Gil (s. 9), s. Urszuli Kłusek (s. 17), Moniki Moryń (s. 35), Joanny Olędzkiej (s. 49-51), archiwum Szkoły Podstawowej nr 2 im. Ewy Krauze w Piasecznie-Zalesiu Dolnym (s. 60-64), wydawnictwa Literatura (s. 65), wydawnictwa Zakamarki (s. 66), wydawnictwa Edgard (s. 68), Anny Zalewskiej (s. 71-72), Anny Niemiry-Jurek (s. 72).

Wydawca dołożył wszelkich starań w celu ustalenia autorstwa ilustracji reprodukowanych w publikacji. Autorzy i właściciele praw autorskich, do których mimo wysiłków nie udało się dotrzeć, proszeni są o kontakt.

Nr 1(10)/2023



- 1 Dziewczyna albo chłopiec – stereotyp czy biologia i natura
- 11 Czulość i szacunek, czyli jak tato i mama budują w dzieciach tożsamość i uczą relacji z płcią przeciwną
- 15 Razem czy osobno? – dylematy dotyczące kształcenia dziewcząt i chłopców
- 16 Mężczyźni w szkole pilnie potrzebni!

TEMAT NUMERU

O chłopcach i dziewczynkach

Jak rozwijają się chłopcy, a jak dziewczynki? Jakiej preferują zabawy? Lepiej im się uczyć razem czy osobno? Czy płcie jest uwarunkowana biologicznie, czy kulturowo? Na te pytania chcemy poznać odpowiedzi w bieżącym numerze **Wychowujmy!**

W numerze 10. przyglądaliśmy się chłopcom i dziewczynkom – ich rozwojowi, zabawom, nauce, pasjom. Proponowaliśmy też, jak dorośli mogą im towarzyszyć w dorastaniu.

Nr 2(11)/2023



- 14 Jak rozmawiać z nastolatkami o zakochaniu
- 17 Pięć ucieśników dzienne
- 19 Jak pomóc w zdobywaniu sympatii rówieśników?
- 20 Aplikacje randkowe sprzyjają samotności

TEMAT NUMERU

Przyjaźń i kochanie

Jak rozmawiać z dziećmi o uczuciach? Jak możemy im pomóc, by potrafiły nawiązywać dobre, wartościowe przyjaźnie? Jak przygotować nastolatków do stworzenia związku, który będzie dla nich życiowym oparciem? W 11. numerze **Wychowujmy!** chcemy podjąć te kwestie, tak ważne dla każdego – nie tylko młodego – człowieka.

Jak rozmawiać z dziećmi o uczuciach, jak im pomóc w nawiązywaniu dobrych, wartościowych przyjaźni? Jak przygotować nastolatków do stworzenia życiowego związku? O tym wszystkim w numerze 11.

Nr 3(12)/2023



- 1 Kształtowanie odpowiedzialności na kolejnych etapach rozwojowych
- 14 Nieodwzajemnione miłości, niedoskonalali rodzice – jak wywołać wymagania wobec dzieci?
- 15 Kultura narcyzmu
- 19 Porażka jako szkoła odpowiedzialności

TEMAT NUMERU

Odpowiedzialność

Jak uczyć dzieci odpowiedzialności? Dlaczego współczesnym nastolatkom tak trudno dorosnąć? Na ile rodzice powinni angażować się w naukę dzieci? Bieżący numer **Wychowujmy!** koncentruje się na zagadnieniu odpowiedzialności, która kształtowana jest przede wszystkim w rodzinie.

12. numer poświęciliśmy odpowiedzialności. Jak jej uczyć w rodzinie? Dlaczego współczesnym nastolatkom tak trudno dorosnąć? Na ile rodzice powinni angażować się w naukę dzieci? Jak kształtować samodzielność, która z odpowiedzialnością jest ściśle związana?

Nr 4(13)/2023



- 14 Przemoc za maską uśmiechu
- 16 Kłótnie i frustracje dzieci w domu i poza nim – co z tym robić?
- 18 Sposoby na złość
- 19 Jak wspierać ofiary przemocy

TEMAT NUMERU

Agresja

Skąd się bierze złość i agresja u dzieci? Jakie przyczyny i formy? Jak uczyć dziecko panowania nad własnymi emocjami i wzmacniać je w sytuacji doświadczania przemocy? W 13. numerze **Wychowujmy!** skupiamy się na powszechnym problemie rówieśniczej przemocy i agresji – jego przyczynach i sposobach rozwiązywania.

Jakie są przyczyny złości i agresji, także relacyjnej lub skierowanej przeciwko sobie, u dzieci i młodzieży? Jak sobie z nimi radzić? Jak wspierać ofiary przemocy? Tym trudnym problemom przyglądaliśmy się w 13. numerze naszego pisma.

RODZINA

KULTURA

WARTOŚCI

ROZWÓJ

**ZAMÓW JUŻ DZIŚ
BEZPŁATNĄ PRENUMERATĘ!**
formularz zgłoszeniowy na stronie www.wychowujmy.pl
mailowo na adres redakcja@wychowujmy.pl



*Zaplanujmy razem
JAK wychowywać!*



OŚRODEK
ROZWOJU
EDUKACJI

WWW.WYCHOWUJMY.PL
REDAKCJA@WYCHOWUJMY.PL
[FACEBOOK.COM/PISMO WYCHOWUJMY](https://www.facebook.com/pismowychowujmy)

